Nr. 13 (1266). Warszawa, 26 Marca (8 Kwietnia) 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Zadarcie z Francyą

Genialny polityk, niedościgniony mówca, niezrównany pięknoznawca, kompozytor jakich mało, poeta, artysta, prorok — geniusz wszechstronny w tym roku poczynającą się wiosnę postanowił powitać z wesołych fal tego samego morza, które naszemu poecie przed 70 laty wyrwało z piersi przecudne westchnienie smutku. U wrót tego morza jeszcze przed Gibraltarem leży Tanger, druga, morska stolica Maurytanii nowożytnej. Nie chciał jej wybraniec bogów pominąć, musiał nawet o nią zawadzić. Wszystkie grające w nim symfonie wielkości mogły umilknąć, ale powinna zawsze nieodstępnie dźwięczyć mu w duszy jedna najmilsza i najgłębsza. Myśl, że jest przecież Hohenzollernem, że wszechświatowe panowanie — choćby tylko nad umysłami ludzkiemi, zobowiązuje go w chwili obecnej do wystąpienia na wszechświatowej arenie, rozpostarła nad nim szerokie swe skrzydła i zaprowadziła go na palący grunt rzeczywistości, do owego właśnie Tangeru. W człowieku póz i frazesów, czułym na zmysłowe wrażenia oka, tym razem strój fantastyczny własny i fantastyczniejsze stroje rozbójników maurytańskich, moc czarująca własnej, odświętnie udrapowanej osoby jako materyalnego zjawiska — nie miały już wagi rozstrzygającej o miejscu zatrzymania się w podróży. Było coś ważniejszego, co mu kazało wyjść na ląd marokański — była polityka. Za nim wyruszył w drogę, już prasa rządowa i wpółrządowa niemiecka przygotowywać zaczęła świat do istotnego celu odwiedzin w Tangerze. Znakomicie obsługiwany przez swych korespondentów *Times* uprzedził ją wyjaśnieniem zamysłów niemieckich i, oczywiście, pociągnął ją za język. Wywiązała się polemika o prawo Francyi i Anglii do umowy z kmietnia 1904 r. i o prawo Niemiec do lekceważenia jej. W boju słownym wzięły udział gazety francuskie i angielskie. Półurzędowa *Norddeutsche* poprowadziła atak na organa obu narodów zachodnich. Jasno zarysował się zamiar działania wbrew Francyi, bezpośrednio interesowanej w Marokku.

Już podczas podróży sam Bülow w sejmie nie zawahał się wystąpić z manifestem zastrzegającym prawa Niemiec wobec owej umowy i wypływającemu z niej upoważnieniu Francyi przez Anglię do zagospodarowania się w państwie maghzena. Niemcy nie wiedziały nic o umowie w sposób urzędowy—twierdził kanclerz — Niemcy zatem mają prawo urzędownie uważać ją za nieistniejącą, a gdy im niewolno nigdzie zrzekać się obrony interesów handlowych niemieckich, muszą więc przedsiewziąć to, coby je do celu doprowadzić mogło, tj. porozumieć się bezpośrednio z sułtanem. Tak mówił teraz ten sam p. Bülow, który w kilka dni po umowie z d. 8 kwietnia 1904 r. w sejmie cesarstwa niemieckiego z wiadomości nieurzędowej skorzystał tak, jakby urzędową była i nietylko od odpowiedzi się nie uchylił, ale ją wypełnił zapewnieniem, że na zawiązanym przez obce mocarstwa stosunku Niemcy nic nie tracą. Argument, używany obecnie przez niego i przez oddaną mu prasę miałby większą wartość, gdyby p. Bülow albo był odrazu nie wiedział nic o umowie — jak zwykli czynić w podobnych wypadkach ministrowie angielscy — albo też u sułtana marokańskiego zastrzegł był prawa Niemiec do bezpośrednich układów, na dawnej stopie, tak jak gdyby żadna umowa, żaden nowy stosunek, żaden zawiązek protektoratu francuskiego nie stawał w poprzek drogi. Jakież to są zresztą te interesa handlowe niemieckie, wymagające o tyle natarczywej, o ile spóźnionej obrony? Przez pięć lat ostatnich 7—8 mil. fr. w inwekcie i w ewekcie, w stosunku ich wzajemnym 40 do 60%. I to jest ten wielki interes handlowy Niemiec. Muchy nie zabija się centnarem. Chodzi też tu o coś znacznie większego, niż zyski handlowe na kilku milionach franków.

Chodzi o owo bremeńskie panowanie wszechświatowe Hohenzollernów przez ufność wzbudzaną we wszystkich, że Prusy nie żywią względem nikogo złych zamiarów, a pokój miłują nadewszystko. I oto miłośnik pokoju dmie w tubę wojenną; wiedząc o zamysłach Francyi, w 9 dni po mowie w Bremie, wyszedłszy na ląd maurytański w rezydencyi niemieckiej, zapewnia swych poddanych, że interesa ich ekonomiczne i handlowe pozostają i nadal pod opieką stosunków bezpośrednich z sułtanem, jako władcą niepodległym, za jakiego Niemcy uważać go nie przestały. Do wuja czy stryja sułtańskiego, dziękując mu za wspaniałe powitanie, odzywa się: „wolny sułtan w wolnym kraju marokańskim," aby zagłuszyć tem hasłem własnem brzmienie umowy francusko-angielskiej i zmącić układy przez p. René-Taillandiera prowadzone w Fezie. Zamiar działania wbrew Francyi, rozbicia jej planów politycznych ma tak silne tętno, że nie ukryją go największe wysiłki Bülowów i gazeciarzy. Jest to rozmyślne, najjawniejsze zadarcie, bez uprzednich kroków dyplomatycznych, odrazu brutalnie występujące. Niesłychane niedołęztwo p. Delcasségo w odpowiedzi na interpelacyę p. Decrais'go w senacie, zabiegi jego,

aby nie dopuścić do rozpraw w Izbie deputowanych, świadomość położenia, skazującego Rosyę na bezczynność nawet dyplomatyczną, przy bezwładności politycznej—wszystko to ośmielić tylko mogło zapatrzonego w swą nieśmiertelność podróżnika do traktowania Francyi z wysoka, z lekceważeniem, w sposób wręcz wyzywający.

Anglia — niewiadomo jeszcze z jakich pobudek, czy z uczciwą wolą moralnego choćby poparcia współumawiającej się strony, czy też dla interesu, który dziś jeszcze nie kształtuje się indywidualnie w umyśle — manifestacyjnie zsolidaryzowała się z Francyą, i trzeba nawet powiedzieć, że lepiej od niej broni dotychczas, nie swego, ale jej honoru. Kiedy rezydent francuski przed samemi odwiedzinami cesarza niemieckiego opuszczał Tanger, towarzyszył mu i angielski. Kiedy cesarz tego samego dnia 31 marca po południu zawitać miał do Gibraltaru, królowa angielska na godzinę przed terminem odwiedzin odjechała do Lizbony. Flota francuska jedzie do Spitheadu, będzie wpuszczoną do przystani wewnętrznej, razem z angielską popływa po kanale, znajdzie przyjęcie i na morzu i na lądzie tak gościnne, jak gdyby oba państwa zespalało jakieś ściślejsze porozumienie się. Manifestacyi nie zbraknie w Anglii i w opinii publicznej, której miarę rzeczywistą, jak nigdzie w świecie daje dziennikarstwo. Wszystkie prawie gazety wzywają rząd do wytrwania w obronie Francyi. Może to tylko ogień ze słomy, ale może pod słomą jest i lepszy materyał palny, dający trwalsze płomienie. Życzyć ich potrzeba obu stronom — nietylko dla pokazania zębów Prusakowi, ale dla takiego zespolenia się, któreby, przymierzem właściwem jeszcze nie będąc do pewnego konkretnego celu, objawiło już jednak dążność do zasadniczego postępowania ręka w rękę w sprawach powszechnych, wszechświatowych. Takiego zbliżenia się pragnąc potrzeba nietylko dla nich samych, ale dla świata — nietylko w sprawach Europy, ale i całego globu ziemskiego. W takiem postępowaniu *pari passu* będzie wprawdzie wyrzeczenie się tradycyj dziejowych, nieszczęśnie Francyę i Anglię zawsze jedną przeciw drugiej stawiających, ale będzie niejako zwrot ku tym naturalnym stosunkom, które w dzisiejszym stanie uspołecznienia, przy dzisiejszym stopniu nasycenia politycznego obu potęg będą mogły zapewnić ster nad światem najlepszym czynnikom kulturalnym, cywilizacyjnym i politycznym ludzkości. Wtedy dopiero Francya, jako demokracya i rzeczpospolita żyć zacznie. Ale jest to tylko marzenie. Rzeczywistość może je rozwiać już jutro.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeżeli wojną są tylko starcia między wojującymi, to wojny od dwu przeszło tygodni od zajęcia Czung-tu-fu, na północno-zachód od Tie-lingu (35—40 klm.)—już niema. Doniesienie z dnia 2 kwietnia o potyczce na północ od Kai-ju-enu (43 klm. za Tielingiem) nie zmienia tego stanu bezwojowości wojny; czyn bowiem, który potyczkę wywołał, był tylko wywiadowczym. Wszystko, co się teraz spełnia, pada w obręb pochodów obu armij, porządkowania się i wzmacniania rosyjskiej, przygotowywań do nowych działań zaczepnych—japońskiej. Ale właśnie o takiej treści wojny w obecnym okresie wiemy bardzo mało. Korrespondencye dzienników angielskich równie nic nie mówią o drogach, któremi postępują oba wojska, jak buletyny stron wojujących; pierwsze krępuje cenzura sztabów, drugiemi rządzi logika egoizmu, nakazująca ukrywać przed nieprzyjacielem swe ruchy. Nieprzyjaciel wprawdzie zapomocą wywiadów zna, a przynajmniej powinien wyczuć kierunek i masę poruszających się w nim wojsk przeciwnych, ale to wyczucie, dające wiedzę położenia nieprzyjaciela w przestrzeni, zachowuje dla siebie, aż do chwili zamienienia pochodów w działania. Wielki widz wojny, świat cały — zastępować sobie musi wiadomości, których mu nie dają, domysłami, które winien czerpać z logiki obustronnego interesu walczących. Logika ta narzuca co do Rosyan przewidywanie jak najszybszego odwrotu ku Sungary, co do Japończyków—przeszkodzenie odwrotowi i przymuszenie do walki w warunkach dla siebie pożądanych. Jeśli celem Rosyan jest zbicie się w jaknajbardziej spoistą masę i zabezpieczenie od oskrzydlenia, celem Japończyków może być tylko jaknajwiększe, przy niewzruszonej spoistości, rozprzestrzenie się, niezbędne dla należytego, skutek zapewniającego, oskrzydlenia. Ani jednej ani drugiej stronie nie wolno tracić czasu na namysły i zastoje: jeden dzień zmarnowany może wydrzeć owoc całomiesięcznej, całorocznej nieraz kompanii. Dlatego brak wiadomości o działaniach daje wskazówkę pomyślną dla Rossyan, niekorzystną dla Japończyków, działania bowiem od Japończyków tylko wyjść mogą, a gdy ich jeszcze niema, słusznie powstaje pytanie: czy będą mieli jeszcze czas wykonać, co zamierzyli?

Admirał Rożestwienskij napewne wyruszył już z pod Madagaskaru i napewne też nie zatrzymał się przy żadnym z drobnych archipelagów angielskich, na północ od wielkiej wyspy francuzkiej. Oto wszystko, co o nim wiemy. Gdzie jest teraz, jak daleko przez dwa tygodnie (od 22—4 z. m.) posunął się na oceanie Indyjskim i w jakim kierunku? — tego nikt nie powie. Depesze prywatne wskazują mu jako punkt złączenia się z kontr-admirałem Nibogatowem, przybyłym już do franc. Dżybuti na zachodniem wybrzeżu morza Czerwonego,—wyspozbiór Czagos, na równoleżniku południ. 6°, a południku wschodnim od Greenwich 73°, należący do Anglików. Chyba admirał Rożestwienskij z gościnności angielskiej korzystać nie zechce, jak skorzystał z francuzkiej. Na wody Sundzkie z Adenu jest ok. 7000 mil morskich. Oznaczając 250 mil drogi na dobę, a chwilę złączenia się na 10 kwietnia, otrzymujemy początek maja na prawdopodobne zjawienie się floty rosyjskiej u Sumatry i Jawy bądź od południa, bądź od północy. W tym czasie też przewidywać można pierwsze działania na morzu. Japończycy niezawodnie nie dopuszczą się błędu nieskorzystania z wybornej sposobności do zasadzek, jaką daje droga morska między Sumatrą a Malaką, przejście między nią a Jawą, wązkie kanały między drobnemi wysepkami ku Celebes; wreszcie nie pozwolą bez oporu na przemknięcie się Rosyan—już w ostateczności—między Nową Gwineją a Australią. Połączona flota rosyjska będzie miała przewagę ilościową; jakościowa należy do Japonii. Rosyanie mają 8 wielkich pancerników, 8 krążowników opance-

---

L. Andrejew.

„Niema przebaczenia."

Opowiadanie.

(Dokończenie).

Weszła Marya Piotrówna. Ma pocczciwą, okrągłą twarz i gładko zaczesane, rzadkie, bezbarwne włosy. W ręku trzyma robotę — sukienkę dziecinną.

„A co, Mitrosza, kazać już dać obiad?"

„Nie, zaczekaj. Muszę z tobą pomówić."

Zaniepokojona Marya Piotrówna odkłada robotę i zagląda mężowi w twarz.

„Usiądź."

Marya Piotrówna siada, poprawia suknię, splata ręce na kolanach i przygotowywa się słuchać. I, jak zwykle w takich razach, poczynając od ławy szkolnej, twarz jej przybiera wyraz bezmyślności i gotowości poplątania wszystkiego.

„Słucham," rzekła, poprawiając suknię po raz drugi.

Lecz Mitrofan Wasilewicz milczy i wpatruje się ze zdziwieniem w twarz żony. Wydaje mu się ona obcą i nieznaną, jak twarz nowego ucznia, widziana po raz pierwszy; strach go ogarnia na myśl, że ta kobieta jest jego żoną, jakaś Marya Piotrówna, Masza. W tem nowa myśl błysła we wzburzonym mózgu, głos mu drgnął, gdy wyrzekł szeptem:

„Wiesz, Masza, jestem szpiegiem".

„Co?"

„Szpiegiem, rozumiesz?"

Marya Piotrówna kurczy się raptownie i, klasnąwszy w dłonie, woła:

„Jakbym wiedziała, nieszczęsna. O, mój Boże, mój Boże!"

Mitrofan Wasilewicz przyskoczył do żony i, wymachując pięścią przed jej twarzą, ledwie się wstrzymując od uderzenia, zaczął krzyczeć tak głośno, że w jadalni ucichł nagle dźwięk szklanek i wokoło zapanowała cisza.

„Głupia, głupia! Jakby wiedziała! Boże! Jakżeś mogła o tem wiedzieć? Dwanaście lat! całych dwanaście lat! Boże! Żona—przyjaciółka, wszystkie myśli, pieniądze, wszystko..."

Płacząc opiera się o piec. Marya Piotrówna nie może zrozumieć, co jest powodem łez mężowskich: czy to, że jest szpiegiem, czy też, że nim nie jest; lecz żal jej męża, czuje się przytem dotkniętą jego słowami, płacze więc również i mówi:

„A zaraz wymyślania. Zawsze moja wina. Nie wytłómaczysz, jak się należy a potem na mnie zwalasz winę. Jeżelim głupia, to czemuś się z taką ożenił, trzeba było wziąć rozumną."

Nie odwracając głowy, z czołem wspartem o zimne kafle, Mitrofan Wasilewicz szepcze, łkając:

„Jakby wiedziała! Boże! Dwanaście lat! Jeżeli nawet żona tak myśli, tom już naprawdę szpieg. Jakby wiedziała! Głupia, głupia!"

„Ach, dość już tego, wciąż tylko głupia, głupia!" rozgniewała się Marya Piotrówna. „Sami głupstwa wyprawiacie, a my za was musimy odpowiadać".

Mitrofan Wasilewicz odwrócił się z wściekłością:

„Jakie głupstwa? Cóż, szpiegiem jestem? Mów mi zaraz: jestem szpiclem „czy nie?"

„Zkądże mogę wiedzieć? Może i jesteś szpiegiem".

Pełni nienawiści i gniewu, obrażeni, nieszczęśliwi, wymyślali sobie długo i bezmyślnie, o coś się w życiu oskarżając, płacząc i wzywając Boga, dopóki nie owładnęło nimi tępe znużenie i zobojętnienie. Wówczas z całym spokojem, zapominając o tylko co zakończonej kłótni, usiedli obok siebie i wszczęli rozmowę. W jadalni znowu zadzwięczały szklanki, dzieci powróciły do przerwanej zabawy. Mitrofan Wasilewicz z pewnem zakłopotaniem opowiedział żonie

rzonych. Japończycy 5 tylko panerników i 9 krążowników, na których właśnie opiera się jakościowa ich wyższość. Są one znacznie (o $^1/_3$) większe, silniejsze, zasobniejsze w działa i lepiej opancerzone od rosyjskich. Adm. Rożestwienskij ma wiele mniejszych statków wcale nieopancerzonych, które w boju więcej przeszkadzać, niż pomagać mu będą. Zdolności jego są wielką niewiadomą—jaką były również rozgłaszane przedwcześnie zdolności admirała Aleksiejewa lub gen. Kuropatkina, dopóki ich nie dziennikarska zarozumiałość, ale twarda rzeczywistość do egzaminu nie pociągnęła. Admirał jest nadzwyczaj surowym jako dowódzca, jest upartym jako człowiek chory na nieomylność, ale ani surowość gniotąca żołnierza, ani wyobraźnia — nie dają jeszcze kwalifikacyi nadobrego wodza.

W niespokojnej, choć bez formalnej wojny, Europie wraz z jej najbliższemi sferami wpływów najbardziej wojowniczym był w ubiegłym tygodniu cesarz Wilhelm (ob. art. wstępny).

We Francyi toczą się dalej rozprawy w Izbie dep. nad rozdziałem między państwem a kościołem. Dotychczas jeszcze nie było gwałtownych wybuchów, ale przewidywać je należy. Najważniejszym momentem logicznym przeciwników jest konieczność odwołania się do narodu, czyli odłożenie sprawy do nowych wyborów, albo też nawet ich przyśpieszenie.— Służba dwuletnia nie zniży stopy liczebności, odpadną tylko urlopy nieraz po 10-u zaledwie miesiącach służby dawane, a przybędą kapitulacye dobrowolne z podoficerami; przytem umyślny artykuł pozwala powoływać pewną część rezerwy. Z powodu buńczuczności ces. Wilhelma padło znów słowo historyczne „Nancy". Gdy Niemcy ogromnie wzmocnili Metz, Francya musi pomyśleć o swoim punkcie nadgranicznym i nanowo go obwarować. — Hasło raz wydane nie przebrzmi bez echa czynów. Powtarza się położenie z czasów Schnabelego i Boouangera (r. 1887 — 8). Jednocześnie czuć ciążenie ku Anglii, również dzięki ces. Wilhelmowi. Prąd uszlachetniający politykę francuską zaczyna porywać umysły: może zmarnieje, ale może też i wyda z siebie coś lepiej odpowiadającego ideałowi republikańskiemu i dobrze zrozumianemu interesowi Francyi, nie jako rządu, ale jako narodu wpływającego na ludzkość.

Cesarz Franciszek Józef wrócił d. 5 b. m. z Pesztu do Wiednia—nic nie sprawiwszy swą obecnością. Naprożno sprowadzał aż z Berlina swego posła Szogenyi-Maricha (-rycz); naprożno Lukacsowi wydawał klucze od bram nowego rządu; naprożno wyprawiał obiady dla opozycyi: Węgier stał niewzruszony i jak lubi pieprzno jadać tak umie też otrzymane cukierki odsyłać osypane pieprzem niewzruszonych żądań. Bez ustępstw w wojskowości i w gospodarstwie ekonomicznem, pieniężnem i człowem — niczego nie dokaże największa nawet sędziwość, licząca na swą powagę—w polityce! Właśnie czuć w tem całem starciu brak siły młodej. Siedmdziesięciopięcio-letni cesarz już się przeżył. Czterdziestoletni jego następca — jeszcze nie dorósł. I tak Austro-Węgry patrzeć mogą w przyszłość tylko jak w rozwartą paszczę, która je ma pochłonąć. Sejm węgierski zebrał się w tym tygodniu dla uchwalenia adresu do korony. Będzie w nim coś w rodzaju *ultimatum*.

Na Krecie d. 27 z m. ogłoszono przyłączenie do Grecyi. Jednocześnie dowódcy załóg europejskich zagrozili użyciem broni przeciwko powstaniu, które już tleje — szkoda tylko, że jeszcze nie wybucha płomieniem. Co ma żyć, co prawdziwie żyć chce, — nie powinno chodzić na pasku dyplomacyi. Wrazie niepowodzenia zamysłów rola ks. Jerzego jako pasterza stada, pilnującego, aby się spokojnie pasło, stanie się niemożliwą. Będą musieli opiekunowie wystrugać nowy kij, skręcić nowy bicz i złożyć je w nowe ręce.

W Macedonii na północo-wschodzie i na południu objawiają się już wybuchy powstańcze; Bulgarya podsycać je będzie—i przeciwko Turkom i przeciwko Serbom i Grekom. Anglia, wysunąwszy się z gotowością użycia nowych leków na chorobę wolności bałkańskiej, teraz właśnie, gdy już wielki czas działać, milczy. Austrya ogląda się na Niemcy, czy pozwolą. Rosya nie przestała wywierać wpływu niezależnego od porozumienia z kwietnia 1897 r. Ruch przeciwko Turcyi będzie ruchem przeciwko Austryi.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Litwini i ich stosunek do nas.

Podług ogólnego spisu ludności, sporządzonego w państwie Rosyjskiem w roku 1897 okazuje się, że Litwinów i Żmudzinów w granicach dawnej Rzeczypospolitej polskiej znajduje się obecnie 1,627,000 osób; z liczby tej 1,580,435 stanowi ludność wiejską — 36,565 zamieszkuje miasta.

Samo zestawienie wzrokowe tych cyfr wskazuje jasno, że ludność litewska pracuje przeważnie na roli. Jeżeli zaś przyjrzymy się tej ludności zblizka, przekonamy się, że składa się ona wyłącznie z żywiołu włościańskiego na wsi i roboczego w mieście. Wyjątek stanowią księża i nader nieliczna inteligencya, ale jedni i drudzy są synami włościan w prostej linii. Szlachty, posiadaczy większej własności, którzyby trybem życia stwierdzali swoją narodowość litewską, prawie niema, a jeżeli są to w tak drobnej ilości, że liczyć się z nimi wcale nie można. Środowiskiem Litwy jest gub. Kowieńska, tam bowiem na ogólną liczbę mieszkańców 1,544,564, $^2/_3$ stanowią Litwini i Żmudzini (1,019,774); po Kowieńskiej drugie miejsce zajmuje Suwalska: 304,548 Litwinów na ogólną liczbę 582,913 mieszkańców; trzecie dopiero Wileńska, w której na 1,591,207 ogółu ludności mieszka 279,720 Litwinów. Po niej idą gubernie Kurlandzka z 16,531 i Liflandzka z 6,427 mieszkańcami Litwinami. W gubernii Suwalskiej w powiatach Władysławowskim, Wyłkowskim, Maryampolskim osiadła zwarta ludność litewska, w Kalwaryjskim, Sejneńskim i Suwalskim — mieszana. W pierwszych dwóch przeważa żywioł litewski w ostatniej polski; nakoniec w pow. Augustowskim Litwinów niema wcale.

W trzech wymienionych wyżej guberniach: Wileńskiej, Kowieńskiej i Suwalskiej, obok przemagającego liczbą narodu Litewskiego mieszka znaczna ilość Polaków — w gubernii Wileńskiej 130,054,

---

ową historyę z kursistką, unikając niektórych drażliwych szczegółów, i wyraził jej swe obawy.

„Ech!" niedbale wykrzyknęła Marya Piotrówna, „a ja myślałam, że coś się rzeczywiście stało. Czy warto się tem niepokoić! Zgolisz brodę, zdejmiesz okulary i będzie dobrze. Podczas lekcyi w gimnazyum będziesz mógł je wkładać."

„Tak sądzisz? Ale czyż to broda?"

„E, cóż znowu! Dajże pokój swej brodzie. Zawsze ci mówiłam i teraz powtórzę, wcale dobra."

Mitrofan Wasilewicz przypomniał sobie w tej chwili, że gimnaziści zowią go „kozłem", to wprawiło go ostatecznie w dobry humor. Nie dawanoby mu przecie takiego przezwiska, gdyby broda była nic niewarta; tak, to prawda. Ucałował żonę z radości i połechtał ją nawet żartobliwie brodą za uchem.

Około północy, gdy cały dom się uciszył i żona usnęła, Mitrofan Wasilewicz przyniósł do gabinetu ciepłej wody, lustro mydlnicę i począł się golić. Musiał prócz lampy zapalić dwie świece, czuł jednak pewien niepokój i wstyd w tem jaskrawem oświetleniu, starał się więc patrzeć tylko na tę część twarzy, której dotykała brzytwa. Udało mu się szczęśliwie zgolić pół brody. Gdy w tem niechcący spojrzał sobie w oczy i zatrzymał się. Cisza, panująca dokoła, wydała mu się naraz grobową, jakby przedtem pokój był pełen gwaru i rozmów. Dziwne przykre uczucie ogarnia człowieka, gdy, siedząc samotnie w nocy przed lustrem, ujrzy raptem swą twarz. To też i Mitrofanowi Wasilewiczowi zrobiło się nieprzyjemnie; przypatrując się sobie z pewną ciekawością, jak komu obcemu, pomyślał: „toś ty taki!"

Ujrzał niemłodą, zwiędłą twarz, pooraną zmarszczkami i śladami dawnych węgrów, powleczoną białą, suchą skórą. Na nosie czerwona pręga od okularów, wyblakłe, mrugające oczy; na ogolonym policzku połyskuje skóra; piana od mydła pokrywa drugi. W podobny sposób zapewne załatwiać musi i szpieg swą toaletę przed wyjściem na zwiady. To nie jest twarz żyjącego człowieka, to coś płaskiego, szarego, zastygłego, niby maska pośmiertna. Nie przypomina ani szpiega, ani tego, kogo szpiedzy prześladują.

„Toś ty taki!" mruczy Mitrofan Wasilewicz i w tej chwili twarz w lustrze porusza dziwnie zębami i przybiera kwaśny, zmieszany i tchórzliwie wściekły wyraz. Kto mu dał taką twarz? Kto śmiał dać taką twarz? Po policzku, przecinając białą pianę, spływa łza. Mitrofan Wasilewicz, ścisnąwszy zęby, goli twarz w dalszym ciągu; po chwili namysłu namydla też wąsy i goli je. Znów spojrzał w lustro. Jutro wszyscy śmiać się będą z tej twarzy. Ongi, bardzo już dawno, inną była ona. Mitrofan Wasilewicz odrzuca w tył głowę, ściska w ręku brzytwę i przesuwa ją parę razy lekko po szyi odwrotną stroną. Gdyby tak odebrać sobie życie—lecz czyż on się na to zdobędzie?

„Tchórz, podlec!" mówi głośno i obojętnie. Twarz w lustrze porusza ustami, pozostając atoli płaską i szarą. Tak, można ją uderzyć, plunąć w nią nawet, pozostanie zawsze taką samą i tylko oczy zamrugają częściej. Jutro śmiać się będą z niego koledzy, uczniowie. A żona — ta też będzie się śmiała.

Chciałby rozpaczać, płakać, bić lustro, coś słowem uczynić, lecz w duszy pustka, chce mu się spać. „Pewnie dla tego, że długo byłem na powietrzu", myśli i poziewa. I tamten w lustrze też poziewa.

Mitrofan Wasilewicz sprząta przyrządy do golenia, gasi lampę i świecę i, suwając pantoflami, idzie do sypialni. Wkrótce zasypia, wtuliwszy w poduszkę ogoloną twarz, z której jutro śmiać się będą wszyscy: koledzy, żona i... on sam.

Przeł. J. Piekarska.

KONIEC.

w Kowieńskiej 139,618, w Suwalskiej 134,006. Ludność polską tworzą w dużej części Polacy włościanie, w mniejszej obywatele ziemscy, inteligencya i mieszczaństwo. W danych statystycznych, któremi rozporządzam, niema wskazówek wzajemnego stosunku liczebnego tych stanów, wiadomo tylko, że we wszystkich miastach na Litwie ludność polska przewyższa liczebnie ludność litewską. W gub. Wileńskiej w miastach mieszka 52,780 Polaków, a tylko 3,581 Litwinów; w gub. Kowieńskiej 28,234 Polaków i 16,338 Litwinów i Żmudzinów; w gub. Suwalskiej 26,619 Polaków 4,043 Litwinów. Większa własność należy prawie wyłącznie do Polaków, często litewskiego pochodzenia, inteligencyę miejską stanowią przeważnie prawie wyłącznie Polacy.

Inteligencya litewska składa się z księży i nielicznych dotychczas wychowańców uniwersytetów.

Z tego obrazu łatwo wysnuć wniosek, że o ile w trzech wyżej wymienionych guberniach Litwini przeważają liczebnie, o tyle pod względem kulturalnym stoją wyżej Polacy. Mieszczaństwo, inteligencya, większa własność wszystko to prawie polskie, tego Litwa nie posiada i za to czuje żal do Polski. Ale żal to niesłuszny. Inteligencyi własnej, narodowej, litewskiej, Litwa nie posiadała nigdy — o tem świadczy brak dokumentów historycznych w języku litewskim. Wszystko co stanowi zabytek historyczny dawnej Litwy, ich dyplomy szlacheckie, statut litewski pisane były w języku białoruskiem. W czasie połączenia się z Polską Litwini nie posiadali swojej literatury, tak jak nie posiadali jej Polacy. W Polsce znaleźli się Rej, Kochanowski i inni, którzy tę literaturę stworzyli; Litwa później zbudzona do życia, później też zaczęła ją tworzyć. Litewscy kunigasi, czyli książęta, przyjmowali kulturę z zewnątrz, ze wschodu i z zachodu, a stosownie do tego, skąd czerpali wiedzę i wykształcenie, tam wsiąkali. Mieszczaństwa nie było w Polsce, nie utworzyło się ono i na Litwie z przyczyn różnych. Naród pół dziki, pół rolniczy nie czuł ani chęci, ani zdolności do handlu i przemysłu, nie mógł wreszcie wytrzymać konkurencyi z napływowym żywiołem kupieckim: Żydami, Niemcami, Tatarami, Ormianami itp., pozostał przy roli i w tej formie przetrwał prawie do dnia dzisiejszego.

Litwini przedstawiają dziś typ społeczeństwa najbardziej demokratycznego w Europie. Naród bowiem litewski jest bez wyjątku ludem włościańskim; wszystko co ponad ten lud wyrosło — odpadło. Czy dawni Gedyminowie, Skirgiełłowie, Jagiełłowie i inni będą z czasem Litwinami, tego dziś nie przesądzam, przeciwnie, wierzę, że odezwie się w nich uczucie narodowe, że pokochają swój lud i będą się uważali za Litwinów. Dziś jednak Litwinami są o tyle tylko o ile noszą nazwiska litewskie, zaś pod względem języka, kultury, przekonań i obyczajów oderwali się od swego ludu. Dziesiątki pokoleń pracowały nad tem, ażeby zatrzeć w nich pochodzenie litewskie, więc ciężko im wrócić do Litwy, bo między nimi a ich narodem wyrosła przepaść wiekowa, którą wiekową zaledwie pracą wyrównać będzie można. Z ludu przeto litewskiego musi wyrosnąć inteligencya litewska, a tej kultura i przekonania staną się złotym mostem, po którym dawniejsza arystokracya litewska wróci do swego narodu. Ale most ten stworzyć nie tak łatwo.

Wielką zaletą dzisiejszej Litwy jest jej jednostanowość, jeden typ narodowy—włościański; ale zaleta ta, jakkolwiek daje rękojmię stworzenia w niedalekiej przyszłości silnego i zdrowego organizmu społecznego, tamuje jednocześnie jego rozwój. Litwa nie posiada terenu do wykulturalizowania się. Jednostki, które dziś zaczynają wybijać się ponad ogół nie mają możności rozwijać kultury swego narodu. Między niemi a ich rodzinami niema ogniwa przejściowego. Oni kochają swych braci, ale ci bracia pojęciami, wychowaniem, rodzajem zajęcia są im obcy, widzą w nich panów surdutowych, słuchają ich, wierzą im, ale nie umieją z nimi obcować.

Drugą przeszkodą w rozwoju kultury litewskiej, o którą rozbijają się usiłowania najdzielniejszych jednostek litewskich, jest trudność stworzenia kulturalnej rodziny litewskiej.

Jeżeli dla chłopca litewskiego zdobycie wiedzy i stanowiska, bez zatracenia swych cech narodowych, nie jest bynajmniej rzeczą łatwo, to dla kobiety litewskiej jest to prawie niepodobieństwem. Mało, bardzo mało dziewcząt litewskich kształci się dziś tak, żeby zająć stanowisko żony w domu wykształconego Litwina, żeby mogły razem z mężem wychowywać przyszłe pokolenie litewskie i razem z nim oddziaływać na dzisiejsze; a dopóki wykształcony Litwin nie będzie mógł znaleźć dla siebie towarzyszki życia i przyszłej matki swych dzieci, dopóty tym jego dzieciom grozi wynarodowienie i wsiąknięcie w obce społeczeństwo.

Rozumieją to sami Litwini, ale w dzisiejszych warunkach, przy braku szkół i ognisk, skupiających inteligencyę litewską, zaradzić temu nie można, a zaradzić tem trudniej, że nawet w razie otwarcia szkoły litewskiej nie mogliby Litwini znaleźć sił odpowiednich do obsadzenia posad nauczycieli w średniej i wyższej szkole i pensyonatach żeńskich. W obecnych więc warunkach muszą oni korzystać z dorobków kultury sąsiednich narodów w postaci podręczników, dzieł naukowych, wzorów literatury i nauczycieli.

Dok. nast.

St. Staniszewski.

Bank parcelacyjny w Galicyi.

Jedną z kwestyj, natarczywie domagających się szybkiego uregulowania w Galicyi, jest niewątpliwie sprawa parcelacyi większej posiadłości ziemskiej i skolonizowania jej przez włościan. W społeczeństwie chłopskiem istnieje żywiołowe parcie do kupowania ziemi, co się tłomaczy przedewszystkiem niesłychanem rozdrobnieniem posiadłości włościańskiej. Emigracya zarobkowa chłopów galicyjskich tak do Niemiec, jak do Ameryki północnej daje im zapas gotówki, koniecznej do zdobycia namiętnie pożądanego kawałka ziemi. Co do większej posiadłości ziemskiej to ta — zwłaszcza majątki średniego rozmiaru — skazana jest na zagładę. Dlatego też dla jej właścicieli parcelacya jest najszczęśliwszem, często bardzo zyskownem wyjściem. Więc odbywa się ona na wielką skalę: w ciągu ostatnich lat dziesięciu własność chłopska wzrosła tą drogą o 40,000 morgów kosztem większej własności ziemskiej.

W swoim czasie powstało krajowe Towarzystwo parcelacyjne, założone z inicyatywy kilku posłów sejmowych, ale nie zdołało rozwinąć szerszej działalności. Nieufność właścicieli kapitałów do przedsiewzięcia, bogacącego tuziny przedsiębiorców prywatnych, nierzadko najzwyklejszych lichwiarzy, nie pozwoliła stanąć poważnie ani tej, ani paru innym analogicznym instytucyom. Dopiero założony w roku 1899 Bank parcelacyjny rozwinął się poważnie i ma wszelkie widoki powodzenia.

W Banku tym skupili się ludzie z rozmaitych sfer: obywatele ziemscy, finansiści, zamożni właściciele itd. Względy natury partyjno - politycznej usunięto zupełnie. Z powodu utrudnionego naówczas położenia kredytowego oraz braku instytucyi, na której nowy bank mógłby wzorować swą działalność, zabrał się on pierwotnie do interesów jak najmniej ryzykownych, czysto komisowych. Dopiero z czasem zaczął działać na rachunek własny. Zdobycie dość wysokiego kredytu na cele parcelacyi w Banku krajowym popchnęło działalność Banku parcelacyjnego na nowe tory. Obecnie po 5-letniem istnieniu jest on już instytucyą poważną, o całkiem wyraźnej fizyognomii. Liczba członków jego wzrasta w przyśpieszonem tempie. W końcu zeszłego roku było ich już 604, z których w jednym roku przybyło 171. Kapitał udziałowy, wpłacony potroił się i doszedł do sumy 134,000 kor. przyczem w roku zeszłym wpłynęło 91,000 kor. Interesa Banku były prowadzone ze znacznym zyskiem (61,462 kor.), ale zysk ten płynął przeważnie nie z obrotu kapitałów, lecz przedewszystkiem z wynagrodzenia za usługi specyalne, które Bank oddaje klientom przez organizowanie i przeprowadzanie parcelacyi pod względem prawnym i technicznym. Co się zaś tyczy prowizyi, to nie przekraczała ona 2%, a w niektórych wypadkach obniżono ją do 1%.

Przez cały 5-letni okres działalności Bank objął do parcelacyi 46 majętności, rozsprzedał zaś przeszło 15,000 morgów za 7,205,000 kor. W 25 majętnościach parcelacyę już ukończono zupełnie, przyczem 6 rozparcelowano zupełnie, a w 19 część pozostawiono dawnemu właścicielowi lub rozbito je na większe cząstki, mające charakter folwarków.

Z sumy zysków po odliczeniu 80% na fundusz rezerwowy, straty, dyety i tantyemy dla komisyi rewizyjnej i dyrekcyi wraz z urzędnikami, wreszcie na dywidendę (7%), reszta idzie na „fundusz kulturalny". Na ten fundusz poszło dotychczas około 6,000 koron. Są to pieniądze użyte na szkoły w rozparcelowanych miejscowościach, na czytelnie, kaplice, na pomniki Mickiewicza i Głowackiego, w końcu 100 koron na gimnazyum cieszyńskie.

Otóż ten właśnie fundusz nadaje Bankowi parcelacyjnemu cechy polskie, gdyż chodzi tu o szkoły i czytelnie dla kolonistów i o rzymsko-katolickie kaplice. Prasa rusińska, traktująca (całkiem niesłusznie, jak zobaczymy dalej) Bank parcelacyjny z wielką niechęcią za uprawianie parcelacyi i we wschodniej Galicyi, widziała właśnie w tym fundaszu kulturalnym dowód antirusińskich tendencyj Banku. Że założycielom i dotychczasowym kierownikom jego nie szło o uczynienie z Banku czegoś w rodzaju pruskiej komisyi kolonizacyjnej, najlepiej świadczy to, że Bank parcelował majątki tak we wschodniej, jak i zachodniej Galicyi, tak między chłopów rusińskich, jak i polskich. Bank parcelacyjny nie tamował żywiołowego parcia chłopskiej ludności polskiej na Rusi, ale też nie starał się jej tam przenosić, gdzie miejscowa ludność rusińska dostarczała odpowiednich nabywców dla ziemi rozparcelowywanej.

Z 8,217 morgów, rozparcelowanych w Galicyi wschodniej za pośrednictwem Banku 72% przeszło w ręce Rusinów, a tylko 28 w ręce Polaków.

Czysto finansowy charakter działalności Banku parcelacyjnego był naturalnie solą w oku demokratom narodowym, którzy od wielu lat dążą do stworzenia polskiej komisyi kolonizacyjnej na Rusi. Najzagorzalszym propagatorem tej szlachetnej idei, jest p. J. L. Popławski, który i w „Przeglądzie Wszechpolskim" i w „Słowie Polskiem" niejednokrotnie do tej myśli powracał. Nie mogąc nic takiego stworzyć na własną rękę, narodowi demokraci postanowili opanować Bank parcelacyjny i przekształcić go na instytucyę rusinożerczą.

Za odpowiednią chwilę do tego zamachu uznali walne, doroczne zgromadzenie Banku, które się odbyło przed paru dniami.

Zmobilizowali wszystkich swych działaczy i stawili się w komplecie. Ale i zwolennicy dotychczasowego zarządu oraz kierunku działalności Banku nie dali się zaszachować, to też walne zgromadzenie odbyło się przy udziale 200 osób, reprezentujących około 700 głosów. Było sporo włościan z tych powiatów zachodnio-galicyjskich, gdzie parcelacya rozwija się najbardziej oraz ze świeżo pode Lwowem utworzonych kolonii.

Kiedy przystąpiono do dyskusyi nad sprawozdaniem zarządu, narodowy demokrata p. Leszczyński zainterpelował dyrekcyę, jaką przestrzeń nabyli Polacy z obszaru parcelacyjnego dotychczas w Galicyi wschodniej, a jaką Rusini. Dyrektor Banku p. Deskur odpowiedział, że nie wie, gdyż o metryki nabywców nie pyta. Na to inny narodowy demokrata, p. Próchnicki wystąpił z danemi, stwierdzającemi fakt, że Polacy skolonizowali tylko 28% ziemi, rozparcelowanej przez Bank na Rusi i postawił wniosek następujący: „Walne zgromadzenie wzywa Dyrekcyę i Radę Nadzorczą, aby w Galicyi wschodniej nie przyjmowały parcelacyi, jeżeli przynajmniej połowa nabywców gruntów nie składa się z Polaków".

Wyczerpująco odpowiedział narodowym demokratom poseł Jan Stapiński — jeden z założycieli Banku. Powinniśmy przedewszystkiem o tem pamiętać—mówił on—że nie wolno nam w Galicyi więcej bankrutować, dość już było katastrof finansowych z kieszeni ludności. Kto swoim własnym sumptem założy Bank kolonizacyjny i zechce rzucić na przepadłe znaczne sumy pieniędzy, ten może robić próby, nie wolno jednak tego czynić instytucyi udziałowej, opartej na wkładach ludności. Bank parcelacyjny po przyjęciu wniosku p. Próchnickiego przeszedłby w fazę eksperymentów i, co za tem idzie, zbliżyłby się niechybnie do bankructwa. Po za tym czysto finansowym względem, jaki przemawia przeciw projektowi, jest jeszcze drugi—zasadniczy. Dotychczasowi kierownicy Banku nie dali się porwać hasłom nienawiści narodowościowej, ponieważ przekonali się, że polityka wzajemnego szczucia sprowadziła na kraj dość już nieszczęść. Jak więc dotychczas, tak też i na przyszłość nie godziło się nam i nie godzi chłopa rusińskiego, który od wieków na tej ziemi siedzi, odsądzać w sposób nieludzki od prawa kupienia tej piędzi roli, którą zraszał swym krwawym potem. Chcemy bratniego traktowania bratniego narodu rusińskiego i w tym względzie żaden agitator nie zmusi nas do jakiejkolwiek akcyi hakatystycznej. Przeciwko wnioskowi d-ra Próchnickiego przemawia jeszcze i ten wzgląd, że Bank parcelacyjny stoi w znacznej części kredytem Banku krajowego, czerpiącego swe fundusze od opodatkowanej ludności tak polskiej, jak i rusińskiej. Nie, drogami kolonizatorów pruskich instytucya ludowa nigdy nie pójdzie!

Te wywody p. Stapińskiego poparł wymownie dyrektor Banku krajowego—p. Zagórski, twierdząc, że wszelkie prądy polityczne w instytucyi pozapartyjnej, finansowej, szkodzą jej bezwarunkowo. Hasła demokratów narodowych mogłyby znaleźć zastosowanie w jakimś nowym Banku kolonizacyjnym, którego członkowie na taki program zgóry by się zgodzili, ale w takim wypadku Bank krajowy musiałby odmówić swego kredytu, ponieważ nie wolno mu propagować haseł nienawiści. Jeśli mowa o wzmożeniu jakich prądów, to wzmódz się powinna przedewszystkiem walka z wszelką spekulacyą parcelacyjną. Mówca nie widzi żadnego w tem nieszczęścia, że chłop rusiński obok polskiego będzie za pośrednictwem Banku parcelacyjnego rolę swoją uprawiał. Wszelkie jątrzenia wiodą do zguby, coby groziło niechybnie Bankowi parcelacyjnemu, gdyby poszedł za wnioskiem p. Próchnickiego.

Dyrektor Banku Deskur poparł wywody dwóch poprzednich mówców i stwierdził, że pomiędzy tymi, którzy na zebraniu najgłośniej domagali się walki eksterminacyjnej z Rusinami byli tacy, którzy sami posprzedawali majątki Rusinom.

P. Stapiński zażądał przejścia do porządku dziennego nad wnioskiem p. Próchnickiego i otrzymał 411 głosów. Demokraci narodowi zdołali rzucić na szalę tylko 205 głosów. Tak więc akcya ich spełzła na niczem. Takąż samą porażkę ponieśli oni przy wyborach 4 członków rady nadzorczej i 3 komisyi rewizyjnej. Ich kandydaci otrzymali po 4, 7, 129 najwyżej 234 głosów, gdy kandydaci, godzący się na dotychczasowy kierunek działalności Banku parcelacyjnego, po 395—509 głosów. Wotum zaufania dyrekcyi i radzie nadzorczej wyrażono ogromną większością głosów—przeciwko 22.

Daleki.

Wychowanie przymusowe w Niemczech

Państwo „bojaźni Bożej" stara się o dobrą opinię zagranicą. Nie omija więc nigdy okazyi paradowania swym postępem społecznym i prawodawczym. Wydaje prawa, które na zewnątrz przedstawiają się wspaniale — po kilku latach *praktyka* wykazuje tandetę, a nieraz wręcz szkodliwość uchwalonych przepisów.

W Prusach istniało dawniej prawo, regulujące wychowanie państwowe dzieci, które popełniły czyn karygodny w rozumieniu prawnem. W roku 1901 wypracowano nowe prawo: państwo miało się zaopiekować dziećmi, wystawionemi na niebezpieczeństwo zaniedbania moralnego i materyalnego. Otrzymało ono prawo wychowywania dzieci, które żadnego przestępstwa kryminalnego nie popełniły. Wystarczał wyrok sądu opiekuńczego — oparty na zeznaniach policyi, nauczyciela i księdza — opiewający, że dziecko jest zaniedbane, że rodzice nie mają odpowiednich kwalifikacyj dla moralnego wychowania go, lub też że ono samo objawia skłonności zbrodnicze i t. d. Na mocy takiej uchwały państwo od roku 1901 *odbiera* dziecko rodzicom lub opiekunom i oddaje na wychowanie przymusowe.

Nie brak było wtedy ludzi, którzy chwalili zasadniczą myśl prawa: Państwo mimowoli postara się o wychowanie dzieci zaniedbanych i opuszczonych, wyprowadzi na człowieka niejednego, kto bez jego opieki znalazłby się prędzej lub później w szarej rzeszy złodziei zawodowych.

Ze strony demokratycznej odpowiedziano już wówczas: Naprzód—prawo nie daje żadnej rękojmi, że rząd policyjny nie będzie nadużywać uzyskanej władzy dla szykanowania rodzin, należących do kierunków opozycyjnych. Powtóre rząd tak wsteczny, jak pruski, nie ma ani zdolności, ani umiejętności prawdziwego i moralnego wychowania dzieci.

Ziściło się jedno i drugie. Widzieliśmy, że rodzicom polskim, gdy stawiali opór hakacie szkolnej, grożono odebraniem dzieci i oddaniem na „wychowanie przymusowe". Groźby tej używano przedewszystkiem na wielką skalę we Wrześni i w Bukowcu, gdy dzieci polskie, obite w nieludzki sposób przez nauczyciela, nie chciały śpiewać „Ich bin ein Preusse". We Wrześni—o ile pamiętam — spełniono ją, w Bukowcu zagrożono przymusowem wychowaniem państwowym, jeżeli dzieci odmówią jeszcze raz posłuszeństwa. Dalej już perfidya rządowa iść nie może! A jednak wypadki tego rodzaju są dość częste — tylko że opinia publiczna rzadko się o nich dowiaduje.

Co do drugiego zarzutu, berliński „Vorwärts" podaje garść szczegółów, którymi warto zająć się bliżej. Po zmianie prawa można było żądać, by zakłady wychowawcze zostały zreformowane. Nie miały one przecież być instytucyami karnemi, lecz *wychowawczemi*. Wszystko jednak pozostało podawnemu: zakratowane okna do czwartego piętra, szkło na murach, dozorcy policyjni, ciemny karcer o chlebie i wodzie, zaopatrzony rurami gumowemi (służącemi do bicia)—obok książki biblijnej. A nadewszystko zakłady te są *widownią brutalnego wyzysku sił dziecięcych do pracy.*

Już z wykonawczych przepisów prawa z roku 1901 można było podejrzewać, że tu nie chodzi o lepsze wychowanie biednych dzieci—lecz o dostarczenie pruskiemu junkierstwu tanich sił roboczych, na miejsce tych licznych robotników i służby rolnej, którzy z przyczyny minimalnych zarobków i nieludzkiego traktowania po dworach emigrują ze wsi do miast, do ośrodków przemysłu. Przepisy te zawierały ustęp następujący; „Przy wychowaniu należy zwrócić szczególną uwagę na to, żeby dzieci zostały wyrwane z zaniedbania i wychowane na ludzi moralnie-religijnych i dzielnych robotników, przedewszystkiem dla rolnictwa". Zdarzały się wypadki, szczególniej w Prusach wschodnich, że za byle co odbierano dzieci rodzicom oddawano „w celach wychowawczych" (!) dziedzicowi, a ten wyzyskiwał je w straszny sposób, nie wypłacając zarobku. Znany jest wypadek trzymania chłopca, który tylko tyle zawinił, że kilka razy nie poszedł do szkoły, do 19 roku u dziedzica. Chłopiec chciał się uczyć rzemiosła — a dziedzic nie puszczał go, bijąc, ciężką obarczając robotą i marnie żywiąc, aż nareszcie chłopak nabawił się kalectwa przy niedostatecznie zakrytej maszynie i uciekł z rozpaczy.

Wiadomo też, że zakłady wychowawcze oddają dzieci posiadaczom ziemskim do roboty. Więc podejrzenie, że prawo zostało stworzone przedewszystkiem w celu dostarczania junkierstwu tanich sił roboczych, nie jest bezpodstawne.

Ale i kapitał przemysłowy umie też korzystać z pracy dzieci. Siedemdziesięcioletnia walka o usunięcie nieletnich z fabryk jest najlepszym dowodem, jak dla kapitału pożyteczne były ręce dziecięce. Nowe prawo o ochronie dzieci zmniejszyło coprawda ten wyzysk, lecz pozostawiło tyle wyjątków, że kapitalista może i nadal w licznych wypadkach korzystać z pracy dzieci, przedewszystkiem w zakładach wychowawczych.

Nauczyciel Konrad Agahd, znany autor doskonałych dzieł o pracy dzieci w Niemczech, opisuje w nowo wydanej książce system przemysłowej pracy dziecięcej w zakładach wychowawczych. W Niemczech istnieje 800 zakładów wychowawczych, z których 683 przyjmuje i dzieci, oddane na „wychowanie przymusowe". Utrzymanie tych zakładów kosztuje rocznie 11—12 milionów marek, których dostarczają źródła prywatne, składki te nie pokrywają jednak wydatków. Dlatego w licznych zakładach urządzenia są zupełnie niedostateczne, pożywienie marne, kierownictwo niefachowe, metody wychowania przestarzałe, urzędnicy źle opłacani, niedostatecznie przygotowani i wykształceni; kierownik jednego z tych zakładów wydał o ich większości taki sąd: „zakładom tym wiele brakuje; dla wykonania celów karnych, wypełnienia wychowawczych mniej więcej brak im wszystkiego". Większa ich część, nie mając dostatecznych środków, ucieka się do wyzyskiwania pracy dzieci podług zasad czysto kapitalistycznych. Niema pieniędzy w zakładzie — a więc zarabiać! Zarabiać—a więc pracować na polu przemysłowem! Praca przemysłowa wymaga podziału zajęć na pracę mechaniczną, akordową, przynoszącą zarobek. Nie może być zmiany w zatrudnieniu, gdyż

tylko posiadający rutynę zarabia dużo. Wychowanie do pracy — i przemysłowa praca dzieci—oto pojęcia wręcz przeciwne.

Niestety prawo o ochronie pracy dziecięcej nie rozciąga się na te zakłady wychowawcze.

Słusznie oburza nas — pisze Agadh — wyzysk, wykryty w francuskich domach dla sierot. Nie sądźmy jednak, żeby przedsiębiorca ze względów ludzkich oddawał zakładom wychowawczym sortowanie kawy lub grochu. Nie potrzeba chyba dowodzić, że wybieranie jarzyn lub wydzieranie piórek niema wartości wychowawczej. Zakłady wychowawcze nie na to przecież istnieją, by dostarczać przemysłowcom tanich rąk roboczych.

Kierownicy ich są jednak przeciwnego zdania. Agadh sam opowiada o zakładzie H.: „O ile można zatrudnia się dzieci robotami rolnemi. Przy złej pogodzie chłopcy zajmują się wydzieraniem piórek".

W zakładzie B. ... „dla najmniejszych chłopców zaprowadzono malowanie ołowianych żołnierzy dla fabryki. Każdy dzieciak ma garnuszek z farbą i pędzlem. Jeden maluje konia, drugi nakłada siodło, trzeci mundur żołnierzowi. Introligatorzy dostarczają kajetów do pisania, oprawiają książki, broszurują zeszyty i sporządzają różne roboty kartonowe. Wstęp do oddziału szewckiego jest dobrowolny. Oddział zajmuje się nietylko reparacyą starego obuwia, lecz i wyrabianiem nowego. Przytem pracują tam nietylko dla własnego zakładu, ale i dla innych instytucyj państwowych. Również zatrudnieni w krawiectwie dostarczają ubrań nietylko dla własnego zakładu, ale i dla innych. Pończosznicy pracują tylko zimą, również koszykarze.

Wielkość wyzysku dzieci w owym zakładzie filantropijnym wynika z regulaminu dziennego: latem i zimą wstaje się o godz. 5-ej. Od 5—6 ubieranie się, posłanie, mycie, pierwsze śniadanie. Od 6—7 godzina dla wykonania zadań szkolnych. 7 modlitwa poranna. Potem uczniowie popołudniowi udają się do pracy, która trwa—z przerwą $^1/_2$ godzinną na drugie śniadanie — do $11^3/_4$. Uczniowie przedpołudniowi zamiatają po modlitwie cały dom, dostają o $^3/_4$8 drugie śniadanie i mają od 8—12 godziny szkolne. O 12 jest obiad i wolna godzina do 1-ej. Następnie uczniowie przedpołudniowi udają się do pracy, która trwa—z przerwą na podwieczorek—do $6^1/_2$. Druga część ma od 1—4 naukę szkolną, potem podwieczorek, potem praca przemysłowa. O 7-ej wspólna kolacya, następnie wolny czas do 8, latem do $8^1/_2$. Wreszcie modlitwa wieczorna, po której dzieci idą spać".

O skutkach takiego wychowczo-wyzyskującego systemu pisze Agadh, że z liczby 107 uwolnionych 1 umarł, 4 trzeba było wziąć napowrót do zakładu, 6 dostało się do domu poprawczego, 2 do więzienia.

Zakład D. 2: „W czasie wolnym od nauki szkolnej zatrudnia dzieci wybieraniem grochu i kawy lub wyplataniem krzeseł".

W zakładzie D. 3: „Czas pracy jest po obiedzie. Oprócz zajęć domowych wchodzą w rachubę: roboty w sali i na polu. Wśród pierwszych sortowanie grochu, kawy itd. jest na pierwszem miejscu... Do pługa zaprzęgają 22 chłopców..."

Zakład O: „Dzieci zatrudniają w rolnictwie, ogrodnictwie, stolarce, szewctwie, krawiectwie, siodlarstwie, introligatorstwie, koszykarstwie, robotach kuchennych i przy innych, zdarzających się pracach. Chłopcy są podzieleni na grupy określone, które zatrudnia się zawsze jedną i tą samą robotą... Małe dzieci i te, które się źle sprawują, obierają kartofle.... Praca dla dzieci, które obowiązkowo (do 14 roku życia) muszą uczęszczać do szkoły, wynosi dwie godziny dziennie".

Dzieci zakładu N. „Cały czas — oprócz niedziel i pół godziny w dniach roboczych—mają wypełniony od rana do wieczora nauką szkolną i pracą. W ten sposób niema czasu na fizyczne ćwiczenia, zabawy lub inne rozrywki. Rzadko tylko można ujrzeć bawiących się chłopców, ani razu nie słyszałem świeżego, wesołego śmiechu".

Zakład Schw. „Dopóki dzieci są w zakładzie, starsze muszą pomagać po za czasem szkolnym i przeznaczonym na wypoczynek przy robotach w ogrodzie i w polu, a młodsze zatrudniają zaszywaniem guzików".

Tak wyglądają więc owe zakłady wychowawcze, do których dostają się dzieci najbiedniejszych, najnieszczęśliwszych.

90% umieszczonych w owych zakładach, weszło tam bez własnej winy — nędza społeczna, fatalne stosunki w mieszkaniach, głód, brutalność, prostytucya, brak wszelkiej opieki — oto powody społeczne, które zapędziły dzieci do owych klasztorów ponurych. A społeczeństwo i państwo? Zamiast otoczyć biedne te stworzenia prawdziwą opieką, zamiast ludzkiem, dobrem wychowaniem wykreślić z pamięci dziecka lata nieszczęścia, poniżenia, nędzy lub też własne błędy, zamiast powrócić mu spokój i szczęście—zamykają nieszczęśliwe dzieci nieszczęśliwych rodziców w murach więziennych, zwanych „zakładami wychowawczemi" i pozbawiają je młodości, wyzyskując w najbrutalniejszy sposób.

Czemu się dziwić? Państwo, które nadużywa szkoły ludowej w celach klerykalno-rządowo-patryotycznego wychowania dzieci proletaryatu niemieckiego—które nadużywa swej władzy w szkole dla zniemczenia i ogłupienia dzieci polskich, dowiodło, że nie o wychowanie i wykształcenie ludu mu chodzi, a o skorzystanie z władzy nad szkołą w celach praktyczno-społecznych.

J. H.

UWAGI
w sprawie wychodźstwa zamorskiego.

Najlepszem zabezpieczeniem w walce rasowej z Niemcami byłoby naśladowanie ich. Oczywiście nie półgłówków chorych na „delirium hacatisticum", lecz większość zatrudnioną działalnością gospodarczą, wykazującą takt polityczny i przezorne umiarkowanie. Yankesi, którzy są narodem nietylko ambitnym, ale i trzeźwym, wolnym od safandulstwa histerycznego, wyglądającego pozornie na ruchliwość i żywotność, inaczej postępują w tej sprawie. Choć bliżsi, niż owe „dzielne szeregi", momentu wyparcia Niemców z południowej Brazylii, gdyż mają swą doktrynę Monroego i możność zastosowania jej, nie bałamucą jednak opinii inspirowanymi artykułami. Niechęci do Niemców z najrozmaitszych powodów mają oni pewno nie mniej od nas, lecz to nie przeszkadza im patrzeć przedmiotowo na rzeczy. Miesięcznik amerykański „Review of Reviews" w szeregu artykułów p. t. „The German in South-Brazil" doszedł do przekonania, że wszystko, co jest użyteczne i wartościowe w południowej Brazylii, wytworzyli Niemcy.

Na uwagę w tem miejscu zasługuje i nawoływanie do ofiar pieniężnych na rzecz szkolnictwa polskiego w Paranie celem ratowania tamtejszego wychodźstwa od wynarodowienia. Milcząco wyraża się w tem przekonanie kół inspirujących akcyę wychodzczą, że szkoła a raczej szkółka wiejska najniższego typu posiada lub może posiadać moc czarodziejską zapobiegania wynarodowieniu. To przekonanie jest wyraźnym dowodem, że owe koła nigdy zblizka sprawy nie badały i jej zupełnie nie znają, w przeciwnym bowiem razie nie żywiłyby rojeń tak fantastycznych. Ile razy zachodzi dysproporcya między środkami a celami tam z konieczności musi wyniknąć partactwo, które osłaniać się będzie blagą. Po za tem uderzająca jest sprzeczność pomiędzy ogłaszaniem stanu wychodźstwa za pomyślny a nawoływaniem społeczeństwa do akcyi ratunkowej. Za najskuteczniejsze w tym względzie uznaje się szerzenie szkolnictwa polskiego, obsadzanie parafij „uczciwymi" księżmi, „kapłanami-obywatelami". Pominąwszy to, że potrzeby szkolne społeczeństwa polskiego w Europie nie są zaspokojone, w tem nawoływaniu wyraża się ufność w cudowny wpływ szkoły na zsolidaryzowanie się narodowościowe wychodźstwa polskiego ze społeczeństwem ojczystem w Europie, solidaryzowanie które nawet współzależność życiowa, obcowanie historyczne niezawsze dość silnie wytworzyć mogą. Jest to stanowczo przecenianie doniosłości szkoły polskiej na wychodźstwie. Nawet gdyby ona stała na właściwym poziomie doskonałości i prowadziła propagandę narodowościową, od czego w rzeczywistości zawsze będzie daleka, to rezultaty jej działania nie będą miały znaczenia historycznego. Co najwyżej zdoła ona zaszczepić w pokoleniach wychodźczych pewną sympatyę dla niewidzialnego społeczeństwa polskiego taką, jaką można rozwinąć pośród Francuzów lub Włochów. Może być zresztą że dla jakichś mało znanych racyj antropologicznych ta sympatya będzie o parę stopni wyższą i zupełniejszą, niż włoska lub francuska, lecz na tem koniec. Wrażeń rzeczywistych i wzruszeń związanych z konkretnymi warunkami życia wychodźcy, urabiającymi jego organizacyę cielesną i charakter duchowy, importowana, tendencyjna szkoła polska nie zastąpi, może ona zostać tylko czynnikiem dodatkowym w wytwarzaniu się nowego typu na wychodźstwie, pewnym hamulcem opóźniającym moment zupełnego przeistoczenia się. Ażeby zaś mogła to spełnić, należałoby jej nadać ten stopień doskonałości, który się osiąga tylko drogą znacznego wkładu pieniężnego; ale dla stworzenia takiego szkolnictwa niezbędne są wpływy dyplomatyczne, gdyż żaden organizm społeczny nie zgodzi się bez walki na hodowanie na sobie nowotworu obcego jego dążeniom duchowym, materyalnym i politycznym.

Drugim środkiem przeciw wynarodowieniu ma być osadzanie pośród wychodźstwa polskich księży „kapłanów-obywateli". Pominąwszy to, że nie tak łatwo znaleźć tych „kapłanów-obywateli", że dla tych, którzy są, aż nadto wiele istnieje powodów do pozostania w kraju rodzinnym, trudno pojąć, jak taki polski „kapłan-obywatel" godzi swe obowiązki z posłuszeństwem innoplemiennemu „kapłanowi-obywatelowi", który jest jego zwierzchnikiem. *Ci, którzy przepisują takie recepty, powinniby się zastanowić, ile w księżem niańczeniu ludu polskiego mieści się wszechstronnej jego niemocy, jaka stąd płynie obyczajowa, umysłowa i polityczna demoralizacya.*

Rzadziej spotkać się można z radą, by pośród polskiego wychodźstwa za morzem osiadali ludzie z niejakiemi zasobami pieniężnymi, — przedsiębiorczy i inteligentni. Zapomina się jednak, że kapitał nie może być patryotycznym, lecz musi być brutalnym i wyzyskującym, a im jest mniejszym tem zysku pożądliwszym, wędruje więc on tam, gdzie widzi największe dla siebie korzyści. Żadna wymowa nie zdoła zastąpić tego jedynego dlań przekonywającego argumentu. Emigracya zaś tam zdąża, gdzie są widoki zarobków, gdzie niema nadmiernych trudności przejazdu, wiedziona głównie zaufaniem do pomocy i wskazówek swych krewnych, znajomych i przyjaciół.

(c. d. n.)

Obserwator.

Marya Wysłouchowa.

(Wspomnienie).

Marya Wysłouchowa umarła... Pękło serce, co taką bezbrzeżną miłością kochało kraj i lud.. Pękło serce, co krwawiło się cierpieniami milionów i drżało radośnie na wieść,że wśród tych milionów budzi się nowe życie. Z ręki omdlałej wypadło pióro pisarki-obywatelki, która ani na krok nie zboczyła z raz wytkniętej drogi, służąc przez całe życie ludowi, krajowi, a przedewszystkiem prawdzie. To też te tłumy chłopów i robotników, dzieci i inteligencyi, podążające za trumną Maryi Wysłouchowej, te wieńce na grobie i setki wyrazów współczucia, otrzymanych przez towarzysza zmarłej—wszystko to nie było pustą formą, obowiązkowym konwenansem. Kto miał sposobność choć raz w życiu bliżej zetknąć się z Marya Wysłouchową, kto mógł przyjrzeć się tej szlachetnej postaci przy pracy, ten już na zawsze pozostawał jej czcicielem, chociażby innemi drogami szedł do celu... A tylu, tylu ludzi miało jej coś do zawdzięczenia, nie już jako działaczce i pisarce, ale wprost jako człowiekowi.

Nigdy nie zapomnę tego, co mi opowiadała pewna staruszka — Rosyanka ze łzami wzruszenia i wdzięczności w oczach. Było to pod koniec 9-go lat dziesiątka. Gdzieś na Huculszczyznie, wśród gór, zamieszkało grono młodych ludzi, przybyłych z Ukrainy. Policya austryacka zwróciła na nich uwagę i pewnego pięknego dnia zamknęła wszystkich do aresztu. Z czasem pokazało się, że to brutalne zarządzenie było wynikiem prostego nieporozumienia, ale na razie fakt pozostawał faktem — i młodzi ludzie, w tej liczbie dwie dziewczyny, 16 i 20-letnia, znaleźli się w towarzystwie zbrodniarzy, włóczęgów i prostytutek. Zrozpaczona matka młodych dziewcząt przyjechała do Lwowa, ażeby ratować dzieci, ale położenie jej było niesłychanie trudne. Nie znając języka, ani warunków miejscowych, nie posiadając żadnych stosunków, nie wiedziała, co ma począć. Aż tu nagle, nazajutrz po przyjeździe p. X. do Galicyi zjawia się u niej pani Wysłouchowa, nie znając jej wcale i jej nieznana, ofiaruje swoją pomoc, ułatwia wszystko, sama chodzi koło całej sprawy i umożliwia matce uwięzionych oswobodzenie dzieci... Do końca życia nie zapomnę tego, czegom doznała wówczas od tej obcej mi zupełnie kobiety—mówiła p. X.

Ten fakt, a takich faktów możnaby przytoczyć cały szereg, maluje nam dokładnie charakter Maryi Wysłouchowej. Bezgraniczna wprost uczynność, niezałowanie żadnych wysiłków i nawet ofiar, byle ulżyć losowi innych, a przytem jakieś uparte odmawianie sobie prawa korzystania z uczynności innych—oto był rys znamienny charakteru zmarłej. To też takich, którzy jej zawdzięczają dużo — całe legiony, ale takich, którym by ona była czemś obowiązana mało, ogromnie mało.

Przyjechawszy przed 20-laty z Litwy do Galicyi, Marya Wysłouchowa osiadła we Lwowie i tu — wraz z mężem swym Bolesławem—rzuciła się w wir pracy społecznej. Działała jako bardzo zdolna nauczycielka, jako autorka artykułów w „Przeglądzie Społecznym", jako promotorka ruchu kobiecego, wywierając wpływ niezmiernie dodatni na całe swe otoczenie. Były to czasy, w których trzeba było walczyć niezmordowanie o każdą piędź ziemi dla nowych prądów i kierunków. I walka ta nie była łatwą wobec strasznego zacofania społeczeństwa. „Nowi ludzie", do których należały Marya Wysłouchowa, byli bardzo osamotnieni, skazywani wprost na ostracyzm. Atmosfera przyjaźniejsza dla nowych prądów wytwarzała się zwolna.

Jednakże praca wśród inteligencyi nie była żywiołem, pochłaniającym całkowicie Maryę Wysłouchową. Pociągał ją przedewszystkiem lud. Pierwsze jej broszury ludowe spotkały się z bardzo przyjaznem przyjęciem, a kiedy się zabrała do systematycznej pracy w wydawanym przez jej męża „Przyjacielu Ludu," wówczas dopiero pokazało się, jak wielki posiadała talent publicystyczno-popularyzacyjny. I odtąd aż do końca niemal życia przeważną część sił swych poświęciła tej działalności. Trzeba było widzieć ile serca i duszy w nią wkładała, z jaką radością odnajdywała w listach chłopskich, nadsyłanych do „Przyjaciela ludu" ślady swego wpływu, z jakiem serdecznem a pełnem prostoty wylaniem obcowała z czytelnikami „Przyjaciela Ludu," darzącymi ją bezwzględnem zaufaniem. Podczas wycieczek włościańskich do Lwowa w r. 1904 z okazyi wystawy krajowej miałem sposobność widzieć Maryę Wysłouchową w otoczeniu włościan, przysłuchujących się z przejęciem jej serdecznym a tak wymownym słowom.

Praca dla ludu skierowała Maryę Wysłouchową do badań etnograficznych *) zwłaszcza odkąd poczęła wyjeżdżać dla poratowania zdrowia na Śląsk — do Wisły. Na Śląsku odrazu zdobyła sobie miłość ogromną wśród ludu tamtejszego, a w wydawanej w ostatnich latach przez nią „Zorzy" znajdujemy liczne tej miłości dowody. Marya Wysłouchowa prowadziła bardzo rozległą korespondencyę ze swoimi czytelnikami z ludu, dopełniając tem niejedno, czego niepodobna było zrobić w piśmie.

I oto teraz zabrakło tej niezmordowanej pracowniczki i nikt już nie odezwie się tak serdecznie do ukochanego ludu, jak to ona umiała.

Leon Wasilewski.

*) Wyniki tych badań drukowała głównie w „Ludzie Lwowskim"

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Jedność narodu.

To mrowisko ludzkie, które po wielokrotnem rozrzuceniu go, podeptaniu i zalaniu ukropem, utworzyło sobie kopiec nad Wisłą, Pilicą, Bugiem i Wieprzem, zajmuje obecnie uwagę wielu głów kapuścianych i szpilkowych, ciasnych i obszernych, ciemnych i jasnych. Głowy te znajdują się śród nas i po za nami, a ugotował się w nich już bardzo urozmaicony bigos polityczny na pokarm dla współczesnych pokoleń, które go albo jeść, albo trawić nie mogą. Jest to wszakże wypadek bardzo częsty i bardzo naturalny. Człowiek przyszłości będzie miał prawdopopobnie przeciwne upodobania, ale teraźniejszy nie znosi żadnych ogólnych zasad. Budując most lub maszynę, musi do nich stosować się, gdyż inaczej pierwszy by runął a druga nie działała; o ile to jednak tylko jest możliwem, dopuszcza się i tu odstępstw od zasad, bodajby pod postacią jakiejś drobnej fuszerki. Natomiast w życiu praktycznem wyjątki, jak robaki, toczą każdą regułę. Gdybyśmy np. przegzaminowali Europę z dziesięciu przykazań, okazałoby się, że ona ani jednego z nich nie chce przestrzegać bezwzględnie. Niedawno p. Witkiewicz wystąpił w wydawnictwie pedagogicznem z ostrą naganą dla katechizmów i między innymi dowodami podwójnej buchalteryi religijno-moralnej przytoczył zakaz niezabijania, który ona w wielu razach unieważnia. I kto podjął obronę tych zginań i łamań zasady chrześciańskiej? Ksiądz katolicki. Nie jest on zresztą bynajmniej szczególnym sofistą, ale nauczycielem mądrości swojego czasu. Jeżeli zapytacie: jakie są przykazania boskie, Europa odpowie wam dokładnie, ale tę odpowiedź opatrzy tyloma zastrzeżeniami, że ostatecznie zwątpicie, czy unikanie grzechu jest obowiązkiem moralnym jej dzieci. Tak też dzieje się w praktyce. Czy znacie w niej jakąkolwiek regułę, którąby stosowano bez wyjątków? Przeciwnie, te właśnie wyjątki są jedyną w niej regułą i „rozumem stanu". Polityk, który we wszystkich podobnych wypadkach zachowuje tę samą miarę postępowania, uchodzi za doktrynera, maniaka, śmiesznego prostoducha. Mistrz w tej sztuce — np. niemiecki kanclerz—koncertuje tak: Naród nie powinien zabijać narodu, ale wolno mu przecie od niego się bronić. Jeżeli zaś milion istot bezbronnych jakiegoś rodzaju tylko istnieje obok 50 milionów istot uzbrojonych innego rodzaju, to sama różnica liczby i siły jeszcze nie zabezpiecza ostatnich od pierwszych. Bo przecie wiadomo, że chociaż bakterya jest nieskończenie mniejsza, niż człowiek, może go jednak zabić. Tępienie zatem Polaków w Poznańskiem, Duńczyków w Szleswigu a Herrerów w Afryce nie jest morderstwem, ale tylko obroną.

To kunsztmistrzostwo, przynosi liczne korzyści doraźne, ale również ma w sobie śmiertelną chorobę: jego twory szybko giną. Interes jest to wieprz, który szybko się tuczy, ale niezabity w porę i przekarmiony zdycha. Na nieszczęście największej potomków spłodził prarodzic, którego moralne dziedzictwo odczuł król francuski, mówiący: „po mnie niechaj będzie potop". Człowiek dotychczas o tyle zaledwie przeszedł granicę widnokręgu zwierzęcia, że zwykle pragnie zasekurować od nieszczęśliwych wypadków swoją duszę po śmierci, ale rzadko myśli o ubezpieczeniu życia bliźnich od następstw swego działania. Wyjątkami można przetrzymać a nawet dostatnio wyposażyć istnienie pojedyncze; zbiorowe potrzebuje reguł, bo tylko one nadają czynowi i stosunkom trwałość. Od kołyski do trumny osobnika jest tak mała odległość, że można ją przejść na szczudłach i ani razu nie upaść; ale od gniazda do grobu społeczeństwa rozciąga się tak wielka przestrzeń, że można ją przebyć tylko przy pomocy prawdy. Jednostki często umierają bez pokuty i kary; wielkie zbiorowiska ludzkie nie zdołają zataić swego najmniejszego grzechu. Ich czyny idą z początku na dno jak topielec, ale potem wypływają na wierzch.

Głowy tedy — nasze i nie nasze — które o nas myślą, jeżeli nie chcą pomnażać barłogu politycznego, który szybko kruszy się i gnije, a natomiast pragnęłyby szczerze wytworzyć położenie trwałe, chociaż nie wiekuiste, powinny zrozumieć i stale o tem pamiętać, że taki cel osiągnąć może tylko ogólna, ściśle zastosowana i logicznie rozwinięta zasada. Podwójna i poczwórna buchalterya etyczna, używanie przykazań jako skrzyń ze stałym napisem a najrozmaitszym wewnątrz towarem, okłamywanie reguły wyjątkami, połykanie szpad i gotowanie jajek na lodzie — słowem, wszystko to, czem się tak szczycą nowocześni politycy nie rozwiąże najmniejszego węzełka.

Nie mam dziś zamiaru zapisywania wołowej skóry dowodami tej niemocy, zaznaczę tylko szczególniej daremne pasowanie się szarlataneryi z jedną prawdą niepokonaną. Ludów ucywilizowanych nie należy uważać ani za zsypiska pewnych ziaren, ani za gaje pewnych roślin. Kilka milionów jednostek tworzących społeczeństwo — to nie kilka milionów korcy tworzących kupę zboża, które można z innem zmieszać i gdziekolwiek posiać, oraz nie kilka milionów sztuk drzewa, tworzących las, które można wyru-

bać lub gdzieindziej przesadzić. To są wielkie zbiorowe organizmy, spojone wewnątrz węzłami własnego życia tak silnie, że one nie pękają nawet po rozłączeniu części. Skała rozbita na kawały przestaje być skałą, jezioro podzielone na krople przestaje być jeziorem, bór rozsadzony w różne miejsca przestaje być borem, a naród, nawet rozproszony po kuli ziemskiej nie przestaje być narodem. Na tej prawdzie zwykle potykają się politycy. Mniemają oni, że zapomocą stopów czysto mechanicznych można wytworzyć aliaże antropologiczne, albo też że jedna rasa może połknąć drugą i zamienić ją w sobie na tłuszcz i mięso. Najpewniejszym zaś ku temu środkiem jest t. zw. „równouprawnienie”.

Ładny ten wyraz bywa futerałem bardzo brzydkiego podstępu. Równouprawnienie bowiem jednorodnych obywateli wobec ich ustroju społecznego będąc hasłem zdemokratyzowanej sprawiedliwości, jest czemś zupełnie innem, niż równouprawnienie różnorodnych w obrębie jednego państwa. Z tamtego płyną tylko dobrodziejstwa, z tego tylko szkody. Chodzić pod siodłem jest dla konia znośnym trudem, dla wołu męczarnią, a ludzie mają między sobą więcej i głębiej sięgających różnic. Przyznanie więc jakiejś kulturalnie rozwiniętej narodowości praw innej, jest to skazanie ją na legalną zagładę. W zlepkach państwowych nie idzie o równouprawnienie jednostek ale o równouprawnienie grup, narodowości, bo one pomimo najenergiczniejszych niwelacyj są odrębnemi organizacyami. Na tej zasadzie nie można oprzeć budowy stosunków trwałych, skoro ją pojmiemy w całej rozciągłości i zastosujemy w całej konsekwencyi. Jest ona bowiem dowolnym wymysłem dla zadowolenia chceń, które powoli nikną i potrzeb, które ustępują, istnieje tylko dla twórczości chwilowej równowagi, chwilowego spokoju i ładu, dla tych, którzy godzą się, ażeby po ich śmierci nastąpił potop, jeśli tylko życie da im wszystko, co dać może.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

Z dziejów kwestyi agrarnej.

Lata ostatnie przyniosły nam z zakresu kwesyi agrarnej prócz trzech prac większych, Kautzkiego, Hertza i Dawida, żywą, namiętną polemikę po czasopismach. Zalety poszczególnych form gospodarki ich domniemana trwałość, nadzieja ostania się w walce współzawodniczej bywały stwierdzane i bronione zarówno przez mężów nauki, jak pracy czynnej, z zaciętością, niemal uporem, który nawet mało wtajemniczonym zdradzać musiał, że zagadnienie sporne doniosłością swą przekracza znacznie granice dyskusyi.

Na podłożu wspólnego światopoglądu, łączącego zwolenników Dawida i Kautzkiego ostrymi konturami zarysowały się wrogie obozy, kryjące w sobie tak wiele sprzeczności, że często przeważać zdawały się swym ciężarem jedność celów i dążeń. Materyał opisowy i statystyczny, gromadzony przez wydawnictwa, prace monograficzne, zamiast godzić zwaśnionych stawał się tylko nowem zarzewiem walki, bo każda strona czerpała zeń nowe argumenty na swą korzyść i oddalała się w miarę tego coraz to bardziej od wspólnego punktu wyjścia — teoryi o wyższości wielkiej gospodarki i koncentracyi kapitału.

Przed pół wiekiem ogłosili ją światu spadkobiercy ekonomii klasycznej—a mieszczańska nauka do tego zaszczytnego tytułu nie ma najmniejszego prawa—dla których stosunki agielskie były typowymi, przedstawiającymi konieczną przyszłość rozwoju wszystkich innych krajów kulturalnych. Ten stuletni, zwycięzki pochód wielkiej gospodarki rolnej, którego skutki Marks i Engels wkoło siebie widzieli, zdawał się przytem zapowiadać rychłe upodobnienie stosunków własnościowych i wytwórczych między wielkim przemysłem a rolnictwem. Maszyna miała stworzyć nową formę kapitalistycznej gospodarki rolnej, zapewnić jej istotną przewagę w produkcyi i na rynku, a równocześnie, stwarzając przemysł fabryczny, zniszczyć ostatnią deskę ratunku wieśniaka — domowe tkactwo, przędzalnictw itd. Z dwóch stron czyhająca zagłada działać musi bezlitośnie. Zagrabienie pastwisk gminnych, które stanowiły konieczne dopełnienie drobnej gospodarki, bo umożliwiały hodowlę bydła, w mniemaniu Marksa miało wytrącić wieśniaczej własności wszelką możność ostania się wobec konkurencyi producentów kapitalistycznych, których naturalna przewaga na całej linii zresztą była dla niego pewnikiem.

Że chłop w mały swój kawałek ziemi wkładał ogromnie wiele, że mógł to czynić łatwo przy pomocy swej rodziny, było faktem, zawsze bijącym w oczy. Ale ta praca, pozostająca znacznie w tyle po za przeciętną wytwórczością społeczną, była dla Marksa tylko symbolem zacofania i niezasadności chłopskiej, która zamiast dźwigać chłopa gospodarczo spycha go tylko swym niepomiernym ciężarem poniżej granicy godności ludzkiej. Wyzucie z ojcowizny, następstwo nierównej walki, zmienia jedynie prawną formę istnienia chłopskiego. Wolny najmita rolny zajmuje miejsce chłopa, dla którego własność była w końcu tylko ciężarem a maszyna, niegdyś niszcząca byt jego jako wytwórcy, ciągle staje w poprzek jego drogi. „Jest to rzeczą niewątpliwą i zdawna znaną, że rozwój w rolnictwie wyraża się względnym wzrostem kapitału stałego wobec zmiennego“ („Kap. tom 3). Ale podczas gdy w przemyśle rozszerzenie ilościowe zakresu produkcyi stwarza ciągle nowe zapotrzebowanie pracy, w rolnictwie zakres produkcyi z góry już jest ograniczony daną ilością ziemi, a każda stracona placówka pociąga za sobą konieczność szukania zarobku w innej gałęzi wytwórczości. Stąd rolnictwo staje się wiecznie sączącym strumieniem bezrobocia.

Marks nie wątpił, że wielki kapitał zwycięża w rolnictwie w sposób zupełnie analogiczny, jak w stosunkach przemysłowych i że drogą ciągłego rozwoju dojdzie do kresu świetności, po za którym czyha nań upadek. Zdaniem jego konieczny w gospodarce kapitalistycznej rozdział między wsią a miastem niszczy naturalną wymianę materyi pomiędzy człowiekiem i ziemią, ten stały powrót zużytych przez człowieka składników ziemi w postaci środków żywności i odzienia, który jest wieczystym warunkiem urodzajności gruntów. Tem samem, każdy postęp kapitalistycznej gospodarki rolnej, chwilowo podnoszącej wydajność pracy na roli, kładzie tamę przyszłej wytwórczości, rabuje będące w kolebce pokolenie. A przytem, płacenie renty gruntowej czyni „nieprodukcyjną” zarówno uprawę mniej urodzajnych gruntów, jak i dalsze wkłady kapitału, mogące podnieść urodzajność ziemi już uprawianej, tj. zagraża zbyt nizkiem oprocentowaniem, które w gospodarce kapitalistycznej staje się jedynym miernikiem postępowania. W ten sposób i w rolnictwie na pewnym szczeblu rozwoju materyalne siły wytwórcze społeczeństwa wpadają w sprzeczność z istniejącymi stosunkami wytwórczymi itd.

Teorya ta, która świadomie zacierała wszelką różnicę w pojmowaniu stosunków przemysłowych i rolnych a w ludności zarobkującej już w najbliższej przyszłości zarówno na wsi, jak i w mieście widziała najmitów pozbawionych własności, zespolonych tożsamością położenia społecznego, ta teorya skrystalizowała się w żądaniu połączenia wytwarzania rolniczego i przemysłowego, stopniowego usuwania rozdziału między wsią i miastem, upaństwowienia ziemi. Panowała ona z początku niepodzielnie nad myślami tego stronnictwa, które w nauce właśnie szuka najskuteczniejszej broni i w rozwoju poznania od „utopii do wiedzy” pragnie znaleźć rękojmię przyszłości, stanowiąc jego „teoryę agrarną“ *). Rezolucya Cezara de Paepe, któremu na kongresie brukselskim (r. 1868) poruczono referat o własności gruntowej, opierała się na niej niby na pewniku, jak o tem świadczą wstępne jej słowa: „Zważywszy, że wymogi produkcyi i możność stosowania znanych praw agronomii czynią konieczną wielką gospodarkę oraz stosowanie maszyn i że współczesny rozwój ekonomiczny prowadzi do uprawy gruntów na wielką skalę itd.”

W Stutgardzie uchwałę tę powtórzono, domagając się przytem po raz pierwszy od istniejącego państwa ważnych reform agrarnych, uczynienia roli własnością ogółu i wydzierżawienia jej zrzeszeniom rolniczym. Równocześnie zaś miały państwowe zakłady agronomiczne zapewnić społeczeństwu rozumne i ze stanem wiedzy zgodne wyzyskiwanie ziemi. Nie było tu jeszcze miejsca na uwzględnienie „własnościowego fanatyzmu chłopa“ ani na politykę wyborczą, ubiegającą się za głosami. Jak mało znano i jak mało się liczono z nastrojem nie miejskiego proletaryatu, o tem świadczy najlepiej wydane w Szwajcaryi ulotne pisemko, które w imię dobra ogólnego wzywało chłopów do dobrowolnego wywłaszczenia się i zamienienia własności indywidualnej na wspólną.

Luźne i bez wszelkiej doniośliejszej wagi stosunki między organizacyą miejskiej ludności robotniczej w Niemczech a wsią, które czyniły jej zajęcie się kwestyą agrarną tylko wypływem twierdzenia naukowego o jednostajności rozwoju i teoretycznie odczuwanym obowiązkiem, urwały się zupełnie w ciężkich latach ustaw wyjątkowych. I dopiero gdy ochłonięto po dotkliwych ciosach i nauczono się oddychać zakażoną atmosferą, polecono znowu komisyi, mającej przygotować nowy program, uwzględnienie interesów ludu wiejskiego.

Mnożyć się poczęła literatura o kwestyi agrarnej. Engels, Liebknecht, Conrad Schmidt, Paweł Hampfmayer, Schippel wystąpili kolejno z pracami, które ideową swą zawartością stały bez zastrzeżeń prawie żadnych na stanowisku teoryi zupełnej analogii rozwoju w przemyśle i w rolnictwie.

Nowy program (Erfurt 1891) ujął w jedną formułkę proletaryzacyi przyszłą dolę drobnomieszczanina, chłopa i robotnika. Niczego wieśniakom nie przyrzekał prócz coraz dotkliwszej nędzy nieuniknionej i żądał stanowczo zniesienia wszelkich ceł, stając tem samem bez żadnych ogródek na stanowisku konsumentów. Nie szukał sprzymierzeńców po za szeregami najmitów, ale przyjmował za pewnik, że rozwój szeregi te pomnoży rzeszą chłopów i drobnomieszczan wywłaszczonych, wytrąconych z zajmowanego dotychczas położenia. Niema w nim ani śladu chęci niesienia pomocy niezależnym społecznie wytwórcom; aleteż mi-

Dr. Wilhelm Cohnstaedt: „Kwestya agrarna w niemieckiej lewicy demokratycznej.“ Monachium 1904 rok. (Die Agrarfrage in der deutschen Socialdemokratie).

mo hasła—na wieś, mimo pracy w tym kierunku masy chłopskich wyborców pozostały nietknięte.

Stronnictwo, wyzwolone z pęt ustaw wyjątkowych, wzmocnione latami przymusowego skupiania się i cichej pracy organizacyjnej czuło w sobie pęd silny ku nowym zdobyczom. Szczególniej w krajach o ludności przeważnie rolniczej podnosić się zaczęły głosy, potępiające dotychczasową politykę, która—jak wyrzekł Jerzy v. Vollmar na kongresie w Frankfurcie—daje chłopom w doczesnem życiu tylko poznanie pewnej zatraty i nadzieje lepszego bytu w drugim świecie. A razem z krytyką polityki, niedającej szybkich rezultatów, pojawiła się ostra krytyka teoryi, której ona jest tylko wyrazem praktycznym. Kto żąda ustaw ochronnych dla drobnej własności, ten naturalnie wierzyć nie może, że rozwój ekonomiczny z siłą druzgocącą wszelkie przeszkody zmiecie ją z powierzchni społecznej! Na kongresie frankfurckim starał się Vollmar zbić punkt za punktem owe twierdzenia, mające dowieść naturalnej przewagi kapitalistycznej gospodarki rolnej nad chłopską, która według jego zdania długie lata jeszcze ostać się może w walce konkurencyjnej. Kto jej zaś w tej walce z wielkim kapitałem i z feodalnymi przywilejami dopomoże — w tym ona uzna swego sprzymierzeńca.

W rezolucyi frankfurckiej, która jasno poprzednio sformułowane żądania uspołecznienia ziemi przeistoczyła w mglisty zwrot „zwrócenia ziemi“ włościanom i uznała potrzebę ochrony chłopa, przedostała się po raz pierwszy na widownię z sankcyą oficyalną teorya i polityka agrarna, będąca odstępstwem od stworzonej przez Marksa. Być może, że uchwaloną została tylko dzięki przypadkowi przedwczesnego zamknięcia rozpraw, które odebrało możność wypowiedzenia się jej przeciwnikom, ale bądź co bądź kongres frankfurcki jest chwilą przełomową w historyi kwestyi agrarnej. Wprawdzie kongres berliński (w r. 1895) program ten stanowczo odrzucił w rezolucyi Kautskiego, zarzucając mu, iż łudzi chłopów nadzieją wzmocnienia ich prywatnej własności i, przysparzając państwu nowych środków dochodu, utrudnia stanowisko opozycyi robotniczej, ale raz wszczęta dyskusya nie umilkła już więcej. Osią zagadnienia staje się coraz to bardziej nie przyszła wielkość gospodarstw rolnych, ale stopień ich zależności od rynku, bo stwierdzenie tej zależności czyni panów rynku panami ziemi.

Ile gdzie ma zwolenników, trudno na pewno orzec, bo od roku 1895 przestano nad kwestyą agrarną oddzielnie głosować, a zaczęto ją gruntownie u podstaw samych badać. U wstępu do tych badań stanęła kongresowa utarczka między politykami, którzy zachować chcą czysto klasowy charakter stronnictwa robotniczego a prądami ku przekształceniu go w partyę ludową, gromadzącą elementa niezadowolone i gospodarczo słabe egzystencye klas różnych. Tłomaczy nam to namiętność polemiki, ale i ogromną doniosłość sprawy, o którą chodzi.

H. G.

LITERATURA I SZTUKA

ZE SZTUKI.

Śród nielicznych rzeźb przoduje Laszczka z rzeczywiście wybornymi biustami, a Puszeta „łeb starego barana“ w terrakocie uderza wielką prawdą i doskonale pomyślaną fakturą. Obaj są zdolnymi wykonawcami. Ich zalety tkwią w samych dziełach sztuki, gdy np. wartość takiego Chełmońskiego, jakby unosi się po za granicą ram jego dzieła.

Dla tego jego „Kawałki“ nie są tymi ciekawymi kawałkami, jakie z przyjemnością ogląda się w pracach Stanisławskiego, Wyczółkowskiego, Jakimowicza, Pankiewicza i innych.

Chełmoński—to twórca całości. Bardzo też ciekawem jest jego „Na folwarku“ choć należy do prac dawnych lub „Krajobraz wiosenny“, a bardzo przeciętnem studyum „Dziewczyny wiejskiej,“ którą też powieszono jak najgorzej mimo sławnego nazwiska... W każdym razie wolelibyśmy tę dziewczynę od uroczyście zawieszonych „Żółtych kwiatów“ lub „Kokoszki“ Axentowicza.

Do twórców całości należy też bez zaprzeczenia Weyssenhoff, którego ulewą zalana droga z psem wyjącym doskonale wyraża nastrój i technicznie stoi bardzo wysoko. Psuje tylko całość oświetlone okienko chaty, przypominające raczej otwór Wielkiego Pieca.

Na ogół biorąc nauczyciele warszawskiej szkoły sztuk pięknych wystąpili z pracami słabszemi niż te, któreśmy dawniej widywali. Ruszczyca „Dożynki“ po za dobrze przeprowadzonem łamaniem się światła na czubkach drzew są czemś nieprawdopobnem. Pochyłość na jakiej odbywa się taniec, nietylko o tańcu nie pozwoliłaby myśleć, ale i wspinać się na nią ledwieby można. Tymczasem ochocze pary fruwają swobodnie w różnych kierunkach, jak muchy na powierzchni dyni.

Stabrowskiego „Wieża znicza w Wilnie“, podpatrzona w wyjątkowym efekcie ostatnich krwawych promieni słońca przedzierających się przez ciężkie chmury, jest wprawdzie w barwach bardzo silna, ale obok siły pragnęłoby się i większej finezyi w tych tonach. Ta dwubarwność koloru krwistego i sinego, które przecinają się na przemian jest może za monotonna i za uboga.

Do rozmachu Konrada Krzyżanowskiego przyzwyczailiśmy się już dawniej. Było to ciągłe wirtuozowskie utrzymywanie się między artyzmem a sztucznem efekciarstwem i jakby chodzenie po drucie niedość jeszcze wprawne. Ręce publiczności już się składały do poklasku, lecz silne chybnięcie rozrywa je co chwila z przestrachu, że stukmistrz spadnie z drutu. W rysunku Krzyżanowski nigdy nie celował. Dość przypomnieć sobie jego nieliczne portrety węglowe, np. Frenkla, zbliżający się do mimowolnej karykatury. Za to artysta podbijał rozmachem i śmiałem a często jędrnem położeniem barwy. Z tych powodów portrety jego interesowały i niepokoiły zarazem. W obecnych jednak portretach mniej się czuje artyzmu, a więcej usilnego efekciarstwa, które jest złym duchem talentu Krzyżanowskiego.

Karol Tichy, dał tylko dwa szkice głów węglowe, dobrze odczute, ale nieprzekraczające granic dobrego rysunku szkolnego.

Wyspiańskiego cykl szkiców pastelowych pod tytułem „Kronika kilku dni“ doprawdy nie jest kroniką zbyt ciekawą. Tworzy ją widok tej samej drogi i tych samych drewek, powtarzających się w różnorodnem oświetleniu i różnych warunkach. Jeśli ten cykl miałby cel czysto pedagogiczny pokazania szerszej publiczności, wiele zmian przechodzi każdy najniepozorniejszy fragment natury w zakresie dni kilku, to danie takiej lekcyi byłoby zasługą artysty. Nie byłaby to jednak rzecz ani nowa, ani oryginalnie pomyślana. Nierównie lepiej wykonał taki eksperyment malarz francuski, Claude Monet, malując fasadę tej samej katedry, w odstępach niemal kilkunastominutowych. Widzieliśmy rezultaty posuwania się słońca, które coraz głębiej zaglądało w gzemsowania i korenkę kamienną gmachu. Obrazy były niezmiernie ciekawe, jako zbiór, ale i każdy oddzielnie był znakomitem dziełem sztuki. W porównaniu z nimi szkice Wyspiańskiego odbijały bardzo blado i po dyletancku. Pojedynczo biorąc, niektóre z nich są dobremi notatami całości i nastroju, jak np. mglisty dzień bez słońca, za to innym brak subtelności i dociągnięcia nawet przy uwzględnieniu charakteru szkicowego pracy.

Jedną z najciekawszych prac na wystawie jest niezaprzeczenie fresk Mehoffera „Trójca Święta.“

Przedewszystkiem należy się kilka słów wyjaśnienia, co to jest fresk, a raczej malowanie *al fresco*. To, co nazywamy pospolicie freskami, najczęściej jest tylko ich naśladownictwem, gdyż wyrazem tym przywykliśmy określać każde większe malowidło ścienne bez względu na procedurę techniczną. Właściwy fresk jest malowaniem wprost na murze, pokrytym *świeżym* tynkiem. Jeśli się rozpoczyna pracę większą, to mularz musi tynkować tylko taki kawałek ściany, jaki artysta będzie mógł pokryć malowidłem w ciągu tego samego dnia. Maluje się więc obraz kawałkami, gdy zaś powstanie całość, zapóźno już na poprawki. Farby wodne wsiąkają wgłąb świeżego tynku i łączą się z nim, zapewniając ogromną trwałość malowidłu. Tylko klimat północny nie sprzyja konserwacyi. Barwy te mokre są innego tonu, niż po wyschnięciu. Te trudności, pewność ręki wymagana od artysty, wreszcie trwałość takiego malowania czynią je bardzo cenionem. Malowidła naśladujące freski są rozmaite. W kościołach malują wnętrza farbami klejowemi, które osiadają tylko na powierzchni muru i mogą przetrwać lat kilkanaście, a najwyżej kilkadziesiąt. Można też zdobić ściany malując olejno wprost na murze lub też na płótnie wprawianem albo wklejanem następnie w obramowania z gzemsów. Jednak prawdziwym freskiem jest tylko malowidło wprost na mokrym i świeżym tynku.

Próbkę taką dał nam właśnie Mehoffer. Te trudności, jakie towarzyszą wielkim malowidłom freskowym w kościołach na sklepieniach itp., tu naturalnie nie istniały. Większą wartość nadaje tej pracy bardzo umiejętna kompozycya, doskonałe ujęcie tematu i odczucie tej archaicznej faktury, jaka przy malowaniu al fresco nie jest czczą manierą naśladowniczą, ale leży w samej naturze tego rodzaju malarstwa.

Sierp.

NOWE KSIĄŻKI.

Kazimierz Przerwa—Tetmajer: **Poezye**, serya piąta. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1905 r. Str. 241.

Tetmajer, gdy nie pisze romansów, umie być poetą szczerym i ciekawym. Rzuca przed oczy groźne widma Tatr, wskrzesza żywiołowo potężne legendowe postaci zbójników... Wprawdzie w krajobrazie jest dekoratorem, widzi tylko kształty, — powierzchnię, a ta dusza, o której nieustannie, po kilkakroć na jednej stronicy mówi, jest dlań tylko dźwiękiem pustym, bez treści. Ale język jest barwny, niekiedy silny, homerowsko jędrny, poeta widzi on wyraźnie to, o czem pisze. Rodzime Tatry przytem kocha i czuje, jest jednym z tych, którzy je odkryli—i miłość ta niekiedy czyni cuda. Usiłowań nowych w tym, jak zresztą w żadnym kierunku serya piąta nie przynosi. Tłuką się tu jedynie echa dawnej, przebrzmiałej twórczości. Jest więc cały szereg wrażeń tatrzańskich, zamkniętych w liczne cykle „Podczas wiatru z Tatr“, „W Tatrach“, „Ciemnosmreczyński las“ i t. d. jest i pogłos „Skalnego Podhala“ — „Ballada o Janosiku

i Szalamonównie". Ta jest najlepsza z całego zbiorku, który zresztą czyni dziwne wrażenie. Wydaje się jakimś zielnikiem zasuszonych wspomnień — tyle tu urywków bladych, cennych chyba dla samego pisarza, pozbawionych po za tem wszelkiej wartości, (patrz wszystkie prawie „Wiersze różne"), tyle sztucznej frazeologii. Nieszczery patos i fałszywość brzmienia cechuje głównie dwie części „Dzwonów", dodane do dawnego pięknego wiersza pod tym tytułem dla utworzenia „tryptyku".Ten tryptyk zakrawa na autoparodyę i miejscami przypomina dyletanckie pierwociny talentu raczej, niż utwór świadomego swych środków wersyfikatora. Walczą z nim o gorsze wiersze z „Zatracenia",—z banalnem naśladowaniem Ujejskiego na czele,—niektóre „fragmenty" (naprzykład „o pierwiastku złego", i nadewszystko „wiersze różne".

Na tak beznadziejnie szare i pospolite tło rzucił dopiero Tetmajer swego „Janosika" — wiązankę legend o zbójniku tatrzańskim. Tu, niczem nieskrępowany, święci tryumfy jego bujny, gwałtowny temperament poetycki. Dzikie, niezwykłą siłą nacechowane poematy erotyczne tego cyklu godne są talentu Tetmajera i jego sławy. One jedne zresztą w dość grubym tomiku. *W. Br.*

Wybuchy i napady.

Dnia 1 kwietnia około godz. 2-ej po południu komisarz II cyrkułu policyjnego w Łodzi, Michał Szatałowicz, szedł przez ul. Długą z zamiarem udania się, jak donosi *Rozwój*, do biura policmajstra. Za nim w odległości kilkunastu kroków postępował policjant Zuch. Gdy komisarz znalazł się przed domem Nr. 18, ktoś z przechodzących rzucił mu pod nogi bombę.

Nastąpił wybuch z towarzyszeniem ogromnego huku, który przestraszył wszystkich mieszkańców tej ulicy i przechodniów. Komisarz Szatałowicz padł na chodnik bez przytomności.

Sprawca zamachu chciał uciekać i w obronie przed nadbiegającym strażnikiem Zuchem usiłował strzelić z rewolweru. Zuch szablą uderzył sprawcę w głowę, raniąc go ciężko. Wówczas ugodzony padł na ziemię, zbroczony krwią.

Chory nie odzyskał na razie przytomności. Stan jego, według opinji lekarskiej, jest bardzo groźny.

Niezależnie od komisarza Szatałowicza uległy lekkim obrażeniom ciała dwie przechodzące kobiety, należące do sfery robotniczej, mianowicie Helena Pałaszkiewicz i Marjanna Janicka. Odwieziono je do szpitala Czerwonego Krzyża.

Sprawca zamachu, jak stwierdzono, był robotnikiem. Nazwiska jego dotąd nie ujawniono.

Wybuch bomby był bardzo silny.

O wypadku tym dano niezwłocznie znać do drugiego cyrkułu policyjnego, a jednocześnie wezwano Pogotowie Ratunkowe. Chorego komisarza przewieziono natychmiast do mieszkania przy ulicy Konstantynowskiej Nr. 29, gdzie lekarz udzielił pierwszej pomocy.

Komisarz Szatałowicz uległ silnemu obrażeniu. Całe ciało okryte zostało ranami, najwięcej ucierpiały dolne kończyny.

W miejscu, gdzie padła bomba, porozrywane zostały płyty kamienne chodnika. Skutkiem wstrząśnienia powietrza, wszystkie szyby domów Nr. 18 i 12 zostały wybite. Uszkodzone również zostały odłamkami bomby drzwi i żaluzje w sklepach, znajdujących się w pomienionych domach.

Sprawca zamachu zmarł w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności i nie wyjawiwszy swego nazwiska. Komisarz cyrkułowy ma się lepiej.

Warsz. Dn. donosi:

„W niedzielę, d. 2 kwiet., o g. 7 w., na placu na rogu ulic Dzikiej i Gęsiej, w Warszawie zgromadził się złożony z kikuset osób tłum żydów, z pośród którego zaczęto strzelać z rewolwerów do przechodzącego patrolu wojskowego, złożonego z pięciu szeregowców.

Kiedy patrol skierował się do tłumu, wystrzały trwały bez przerwy, poczem tłum odszedł na ulicę Gęsią.

Tam, zgromadziwszy się znowu na środku ulicy, tłum wznowił strzelanie do przybliżającego się do niego patrolu, skutkiem tego patrol dał 3 salwy.

Tłum rozproszył się, przyczem okazało się, że dwóch żydów było zabitych, a 9 rannionych.

Nadbiegli policyanci aresztowali 28 osób, które ukryły się w poblizkich podwórzach.

Patrol nie poniósł szwanku".

Dnia 30 marca o godz. 4 po południu w Petersburgu, przy zbiegu ulicy Morskiej i zaułka Pocztamskiego do generał-gubernatora petersburskiego D. T. Trepowa, szybko jadącego w karecie, wystrzelił z rewolweru młodzieniec w ubraniu posłańca. Chybił i kareta pomknęła dalej. Nieznajomego aresztowało trzech agentów policyi śledczej. Odmówił on wymienienia nazwiska. Jest to zupełnie młody człowiek w zupełnie nowem ubraniu posłańca. Jako posłaniec ukazał się na parę dni przed zamachem. (*Rus. List.*)

Życie publiczne w Rosyi.

Now. Wrem. pisze.

„Reskrypt Najwyższy na imię Generał-Gubernatora warszawskiego niewątpliwie wpłynie na uspokojenie umysłów większej części ludności polskiej. Generał-Gubernatorowi zalecono przystąpić po opracowania tych reform w ustroju miejscowym, które są niezbędne dla dalszego rozwoju całego kraju. Co się zaś tyczy bolącej sprawy dopuszczenia języka polskiego w szkołach i w różnych instytucyach, to postawiono ją na gruncie praktycznym. Nie może oczywiście niezrozumieć lojalna część społeczeństwa polskiego, że w całem państwie musi być tylko jeden język państwowy, a więc w Rosyi takim językiem musi być rosyjski, nie żaden inny. Pod tym względem wszelkie roszczenia, co do zastąpienia języka rosyjskiego polskim, są naturalnie „nadmiernemi" i nie mogą być uwzględnione. Na samo wyrażenie podobnych wymagań można patrzeć tylko, jako na dążność do rozterek pomiędzy ludnością rosyjską i polską i podtrzymywanie fermentu w ten sposób.

Zupełnie inny ma charakter pragnienie społeczeństwa polskiego, ażeby w szkołach wykładano religię i język polski po polsku przy zachowaniu rozumie się obowiązkowego wykładu innych przedmiotów po rosyjsku. W urzeczywistnieniu tych pragnień nie będzie szczególnych trudności, zwłaszcza po Reskrypcie niniejszym, w którym jasno jest wyrażona wola władzy Najwyższej, ażeby język państwowy posiadał należne mu wysokie znaczenie, ale bez „nadmiernych i niesprawiedliwych ograniczeń języków miejscowych".

Nowosti piszą:

„O konieczności reform w Królestwie Polskiem wiele pisano w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Śród ludności miejscowej rok 1895 wzbudził wiele nadziei, które, niestety, nie ziściły się, pomimo, że na kresach polskich panował wtedy zupełny spokój i nawet wyraźna była dążność do ugody. Pamiętne są słowa Monarchy w Warszawie, wypowiedziane do deputacyi obywateli: „Wierzę w wasze uczucia".

Skromnych propozycyj byłego Gen.-Gubernatora, ks. Imeretyńskiego, co do pewnych ulg częściowych, które nawet nie dotyczyły wprowadzenia samorządu miejskiego, naukowego nie przyjęto, a następnie przy nowym zarządzie kraju zaniechano nawet wszelkiej myśli co do ulepszeń. Jednocześnie watrzymał się i ustał ruch śród społeczeństwa polskiego w kierunku zbliżenia się z Rosyą.

Czasy zmieniły się i obecnie w Reskrypcie z d. 28-go marca do nowego Generał-Gubernatora już jest wzmianka o „występnych usiłowaniach wrogów porządku wprowadzenia zamętu do spokojnej części ludności polskiej, komplikując tym sposobem spokojne rozważanie pilnych potrzeb". Ale jednocześnie ze stłumieniem fermentu, Generał-Gubernatorowi rozkazano „przystąpić do opracowania tych reform w ustroju miejscowym, które będą uznane za niezbędne dla dalszej pomyślności kraju".

Niezbędność reform jest widoczna w Królestwie Polskiem.

W jakim stopniu obecnemu Generał-Gubernatorowi uda się urzeczywistnić to zadanie,— przyszłość pokaże".

O zaburzeniach w Jałcie, znanych czytelnikom naszym z depesz agencyjnych, gazeta *Krymskij Wiestnik* donosi szczegóły następujące:

„Dnia 26 marca, o godz. 3 po południu, kiedy wszystkie sklepy, z powodu dnia niedzielnego, były już zamknięte, na bulwarze wydarzył się, sądząc z pierwszego rzutu oka, drobny wypadek. Oto komisarz policyi spotkał żołnierza, jak się potem okazało, uczestnika obrony Portu-Artura, bawiącego w Jałcie na kuracyi. Żołnierz ten nie oddał komisarzowi należnych mu honorów wojskowych, za co został odpowiednio zgromiony.

„Admonicya ta nie podobała się świadkom całej tej sceny. W jednej chwili zebrał się tłum ludzi, którzy zaczęli wyrażać z tego powodu swe wysokie niezadowolenie.

„Tłum rósł z każdą chwilą. O godz. 6-ej około 300 ludzi skierowało się ku gmachom cyrkułowym i zaczęło je niszczyć. Na miejsce zaburzeń przybył, wezwany telefonicznie komisarz Gwoździewicz, zanim zdążył jednakże wysiąść z ekwipażu, otrzymał wielkim kamieniem potężny cios w głowę. Jak mówią, życie komisarza jest w niebezpieczeństwie. Skonstatowano zapalenie mózgu.

„Prawie jednocześnie z cyrkułami porozbijano i sklepy monopolowe.

„Następnie tłum udał się na ul. Nadbrzeżną. Tu we wszystkich sklepach bez wyjątku porozbijano szyby wystawowe. Wszystkie magazyny przedmiotów złotych i srebrnych oraz zegarków rozgrabiono. Rozgrabiono również i magazyny z gotowemi ubraniami. Manifestanci wpadali do sklepów, ubierali się w lepszą odzież, resztę zaś niszczyli. Apteka Lewentona nie spaliła się, jak o tem mylnie doniesiono; spaliła się natomiast inna apteka Lewiego, w bazarze. W olbrzymim gmachu, gdzie mieściła się owa apteka, znajdowało się mnóstwo sklepów i przedsiębiorstw handlowych, które zgorzały doszczętnie. Jednocześnie wybuchnął inny pożar w domu „liwadyjskim", który również spłonął prawie całkowicie.

„Pożar powstał również w sklepie zegarmistrzowskim — Gudyńskiego. Hotel „Centralny" zburzony.

Zaburzenia trwały przez całą noc. Rano, kiedy przybył pierwszy transport wojsk, w mieście panował już spokój. Wczorajsi bogacze rano obudzili się nędzarzami.

Przed odejściem okrętu z Jałty do Sewastopola, wielu pasażerów, pragnących tam się udać, zaaresztowano pod zarzutem brania czynnego udziału w zaburzeniach. Przybycie wojsk nie uspokoiło bynajmniej mieszkańców, którzy tłumnie opuszczają miasto.

Pożar strawił prawie doszczętnie dom „liwadyjski". W samym środku Jałty zgorzała cała dzielnica, mieszcząca w sobie najbogatsze i najokazalsze sklepy i magazyny. W obecnej chwili okna sklepów i wielu domów są zabite deskami".

Według słów *Sewast. Wiestnika,* prócz wzmiankowanego wyżej komisarza, niema więcej rannych, ani zabitych. Straty ogółem sięgają poważnej sumy—2,000,000 rubli.

„Pomimo trwającego spokoju, w mieście panuje niesłychana panika. Ruch handlowy

wstrzymany zupełnie. Po ulicach nie krążą ani ekwipaże, ani przechodnie.

„Jak mówią, zburzono wszystkie cyrkuły policyjne. Aresztanci uciekli".

W Suchumie na Kaukazie w nocy z 20 na 21 marca przyłapano za miastem zebranie robotników. Mieli oni zamiar wejść do miasta, przyłączyć się do robotników miejskich i wywołać rozruchy. Ujęto dwóch agitatorów z proklamacyami, orężem i czerwonym sztandarem. Robotników zmuszono do powrotu i uniemożliwiono rozruchy. Ujawniło się wrzenie wśród Abchasów, którzy pod wpływem podburzania odbierają grunta od Rosjan i nie chcą płacić podatków rządowych. 22 marca uczniowie szkoły miejskiej, Mingrelcy zburzyli swą szkołę realną. Następnie ze wsi mingrelskich liczny tłum udał się do Suchumu. Zatrzymany przez naczelnika okręgu w paru wiorstach od Suchumu, zażądał uwolnieniu uwięzionych agitatorów i otrzymał odpowiedź odmowną. Udało się bez przelewu krwi nie dopuścić tłumu do miasta. W powiecie gadanckim tuziemcy napadli na kolonię rosyjską.

Z Finlandyi.

Warsz. Dniew. komunikuje z Helsingforsu, że w całym szeregu posiedzeń w kwestjach, dotyczących istniejącego położenia rzeczy, zakreślono cały szereg postanowień. Mówią, że w kwestji kolejnego wzywania do odbywania służby wojskowej w Finlandji zdecydowano wprowadzić istotne zmiany, a tymczasem powołanie do wojska odłożyć na 3 łata. Zdecydowano również wznowić w całej rozciągłości prawo o niezmienialności sędziów i wogóle nadać postanowieniom sądowym kraju tę formę, która istniała w Finlandji do przedsięwziętych reform w rządzeniu tym krajem. Co do reformy celnej i zlania jej z prawami Cesarstwa to jak widać, kwestya ta otrzyma rozwiązanie negatywne.

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Dyrekcya T. K. Z. uwzględniając ciężkie obecnie warunki życia w Warszawie, postanowiła dla polepszenia bytu swych pracujących spłacić wszystkie prywatne ich długi przez udzielenie pożyczki bezprocentowej, umarzalnej w ciągu dziesięciu lat. Prócz tego postanowiono wydać zapomogi od 100 do 200 rb. pobierającym 1,000 i powyżej 2.000 rb. pensyi.

— *Warsz. Dn.* pisze, że wśród lekarzy wojskowych powstała myśl utworzenia wszechrosyjskiego Tow. wzajemnej pomocy lekarzy na wypadek śmierci.

— Niektórzy inspektorowie fabryczni w gub. Warszawskiej rozpoczęli z polecenia ministra skarbu badanie starszych robotników fabrycznych w celu obznajmienia się z życzeniami ogółu robotników w sprawach polepszenia ich bytu. Zebrane w ten sposób dane będą wraz z opinią inspektorów przesłane komisyi, obradującej nad sprawą uregulowania kwestyi robotniczej w drodze prawodawczej.

— Przedstawiciele kilku firm reklamowych wnieśli do ministeryum komunikacyj podanie o pozwolenie wywieszenia w wagonach kolejowych i na stacyach ogłoszeń w języku polskim.

— *Warsz. Dn.* zapewnia, że ma być ustanowiona specyalna komisya z udziałem przedstawicieli ministeryum sprawiedliwości, wojny, finansów oraz zarządu wyznań dla opracowania niektórych spraw, dotyczących stosunków Królestwa Polskiego i prowincyj baltyckich. Rozpatrywać też ona będzie projekt uregulowania serwitutów oraz kwestyę zorganizowania pomocy dla włościan przy nabywaniu przez nich ziemi.

— W Wiedniu utworzył się komitet opieki nad sierotami. Puszcza on w obieg marki t. zw. „sieroce", które można nabywać we wszystkich dystrybucyach po 4 halerze. Marki można przylepiać na wszystkich listach obok marek pocztowych. W pierwszym dniu wypuszczenia marek sierocych sprzedano ich za 20 tysięcy koron.

— Dnia 4 marca sędzia pokoju 42 rewiru m. Petersburga rozpoznawał sprawę z powództwa robotnika fabrycznego przeciwko zarządowi fabryki o 62 ruble zasług za czas bezrobocia. Powód w skardze swojej twierdził, że za rzestał pracy nie z własnej woli, lecz na żądanie administracyi fabryki, i że suma poszukiwana stanowi przeciętne wynagrodzenie za czas od 22 stycznia do 8 lutego r. b. Zbadani w sprawie tej świadkowie stwierdzili, że do frabryki przyszli robotnicy postronni i zażądali zawieszenia robót, że wtedy administracya, obawiając się zamieszek, poleciła roboty zawiesić i fabrykę zamknąć, że robotnicy fabryczni niejednokrotnie podczas rozruchów zgłaszali się do zarządu fabryki pozwanej z żądaniem rozpoczęcia robót, że pomimo to zajęcia na fabryce wznowione zostały dopiero d. 29 stycznia, że gdy administracya fabryki odmówiła robotnikom zapłaty za dni bezrocia, ci ostatni pracę zawiesili i powrócili do niej dopiero dnia 8 lutego. Sędzia pokoju powództwo uwzględnił.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty zażądało od władz średnich zakładów naukowych codziennych sprawozdań z wypadków dnia, by mieć dokładne wiadomości w nastroju wychowańców.

— *Syn Otieczestwa* a za nim *Kijew. Otkliki* piszą: „W związku z niedawnymi wypadkami w średnich zakładach naukowych warszawskiego okręgu i z projektowaną reformą nauki języka polskiego w gimnazyach tego okręgu, w ministeryum oświaty powstał zamiar dopuszczenia wykładu w języku poskim także w prywatnych zakładach naukowych w tych miejscowościach, gdzie przeważa ludność litewska."

— Ażeby dać jakieś zajęcie uczniom wyższych klas warszawskich szkół handlowych, grupa tutejszych instytucyj finansowych postanowiła, jak mówią, przyjąć tych uczniów na praktykę, aż do czasu rozpoczęcia zajęć w szkołach.

— *Rozwój* łódzki donosi, że naczelnik łódzkiej dyrekcyi naukowej, Abramowicz, wzbronił udzielania nauki języka polskiego w bezpłatnej szkole żydowskiej E. Poperno na mocy istniejących przepisów, proponując zastąpić je wykładami języka niemieckiego. Ponieważ od chwili założenia szkoły lekcye języka polskiego odbywały się w wszystkich oddziałach 2 razy tygodniowo, naczelnik dyrekcyi polecił wykreślić je z planu.

— Ministeryum spr. wewn. zatwierdziło zapis majątku Sokołówki w pow. Częstochowskim, uczyniony przez Tomasza Klonowskiego na założenie w tymże majątku niższej szkoły rolniczej, wyłącznie przeznaczonej dla uczniów pochodzenia polskiego i wyznania rzymsko-katolickiego.

— Poruszono projekt szkół dla terminatorów w dni powszednie dla klasy I dwa razy w tygodniu, dla pozostałych trzy.

— Dnia 10 kwietnia w Tow. ogrodniczo-pszczelniczem rozpocznie się coroczny cztero-miesięczny kurs pszczelnictwa wraz z nauką wyrobu miodu do picia.

— *Warsz. Dn.* donosi, że ministeryum oświaty ma się zająć wkrótce opracowaniem projektu obowiązkowej nauki powszechnej we wszystkich niższych zakładach naukowych

— Jak donosi telegram Agencyi Rosyjskiej wysłany z Moskwy dn. 26 marca, moskiewskie Tow. pedagogiczne na ogólnem zebraniu uznało za rzecz konieczną, aby w szkołach polskich w Królestwie Polskiem wykłady odbywały się w języku polskim.

Zdrowie publiczne. Inspektor urzędu lekarskiego miasta Warszawy dr. Puszkin, rozesłał do wszystkich lekarzy wolno praktykujących w Warszawie okólnik treści następującej: „Na wiosnę możliwe jest przeniesienie do Warszawy cholery azyatyckiej, a wskutek tego należy już teraz przedsiewziąć środki dla zapobieżenia rozszerzeniu się epidemii. W szeregu środków, skierowanych ku zapobieżeniu rozszerzenia się chorób zakaźnych i uniemożliwieniu epidemii ma bardzo ważne znaczenie wczesne otrzymywanie wiadomości o każdem zasłabnięciu podejrzanego charakteru chorób zakaźnych. Wskutek tego warszawski urząd lekarski prosi Szanownego Pana o zawiadamianie Urzędu o wszystkich zasłabnięciach przewodu żołądkowo-kiszkowego z charakterem cholerycznym, czy to o tych wypadkach, które Pan mieć będzie w swej praktyce, czy też o tych, o których wiadomość dojdzie do Pana. W wypadkach, niecierpiących zwłoki Urząd prosi o zawiadomienie przez telefon albo też piśmiennie przez umyślnego posłańca. Wskazówki pp. lekarzy, dotyczące dezynfekcyi pomieszczeń zakażonych oraz rzeczy, należących do chorych, będą przyjmowane do wiadomości przez Urząd "

— Na wszystkich kolejach w państwie mają powstać specyalne komisye w celu zapobieżenia przeniesieniu cholery i dżumy. W pociągach jako środki ochronne będą urządzane aparaty dezinfekcyjne.

— Odłożono na pewien czas otwarcie szpitala w Żbikowie pod Pruszkowem, wzniesionego dla służby kolei warsz. wiedeńskiej kosztem 50,000 rb.

— Na Górnym Śląsku grasuje „tężec" w sposób zastraszający. W samych Katowicach 304 osoby zapadły na tę chorobę, z których 165 zmarło. Głównie wybucha wśród dzieci.

Sprawy prasowe. *Warsz. Dn.* donosi, że na konferencyi redaktorów pism petersburskich z naczelnikiem głównego zarządu prasy omawiano w tych dniach pojęcie „szkodliwego kierunku", które pociąga za sobą ostrzeżenie, zakaz kolportarzu, zawieszenie wydawnictwa. Zdaniem p. Belgarda szkodliwy kierunek może się wyrażać tylko w całym szeregu artykułów. Równocześnie oznajmił on, że wydał odpowiednie rozporządzenie, co do zniesienia okólników z lat ostatnich, zabraniających prasie omawiać pewne kwestye, donosić o pewnych faktach.

— W *Praw. Wiest.* czytamy, że wygasły koncesye na wydawanie w Warszawie następujących pism polskich: „Biblioteka dla młodzieży", „Gazeta Krawiecka Damska," „Gazeta Krawiecka Męzka" „Goniec Handlowy."

— Tenże *Praw. Wiest.* donosi, że p. Franciszek Jan Puławski otrzymał koncesyę na wydawanie w Warszawie za zezwoleniem cenzury uprzedniej pod redakcyą Jana Kochanowskiego dwumiesięcznika p. t. „Przegląd historyczny."

Sprawy ekonomiczne. W swoim czasie dyrekcya warsz. Tow. kredytowego miejskiego poczyniła starania o zastosowania ulg przy płaceniu rat od nieruchomości miejskich. Obecnie Tow. zostało od ministeryum skarbu zapytane, ile wynoszą niedobory raty październikowej r. z. i jaki niedobór przewidywany jest przy płaceniu raty kwietniowej roku bieżącego.

— Ministeryum skarbu proponuje wprowadzić nowy podatek od pensyj urzędników i niektórych przedmiotów użytku powszedniego.

— Sprawa regulacyi Wisły poszła znowu w odwłokę. Na posiedzeniu komisyi międzynarodowej w Toruniu przy udziale ministra komunikacyi ks. Chiłkowa koszt robót obliczono na 17,000,000 mil. rb. Roboty miały być rozpoczęte w r. bież. przyczem na 1905 r. wyznaczono na nie 2,000,000 rb. Wskutek wydatków na wojnę ministeryum kredyt cofnęło i wyasygnowało tylko 300,000 rb.

Wiadomości urzędowe. Departament policyi, jak utrzymuje *Warsz. Dn.*, ma być zniesiony, a sprawy w zakres jego wchodzące, należeć mają w przyszłości częścią do osobnego wydziału ochrony, częścią zaś do departamentu spraw ogólnych w ministeryum spraw wewnętrznych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. L. w Łodzi. Potrzebne wskazówki znajdzie pan w „Poradniku dla samouków" t. I.

„Z. K. 201" Sonetu nie wydrukujemy.

OFIARY.

P. Janina Zalewska z Żytomierza rb. 100 dla ofiar strajku, znajdujących się w największej potrzebie, p. Skowroński z Birska 1 rb., p. Wyleżyński z Szarogrodu 2 rb. 50 kop. dla głodnych; p. K. Dziakowicz z Mińska 50 kop.; p. H. Żeligowski z Wotkinska 1 rb. 50 kop. dla nieszczęśliwych.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 24 Марта 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.